

7/1/4
II. 193. 192 ^{autent} FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

MOJE PRZYGODY

W ROKU 1863 — 1864 W KIJOWIE.

Z PORTRETEM AUTORA.



WARSZAWA — 1922.

„KSIĘGARNIA POLSKA” TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ.

MOLE
FRZYGODY

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

MOJE PRZYGODY

W ROKU 1863 — 1864 W KIJOWIE.

Z PORTRETEM AUTORA.



WARSZAWA — 1922.

„KSIĘGARNIA POLSKA“ TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001009865196

„MOJE PRZYGODY“ drukowano częściowo w „Gazecie Narodowej“ (lwowskiej) z r. 1902.

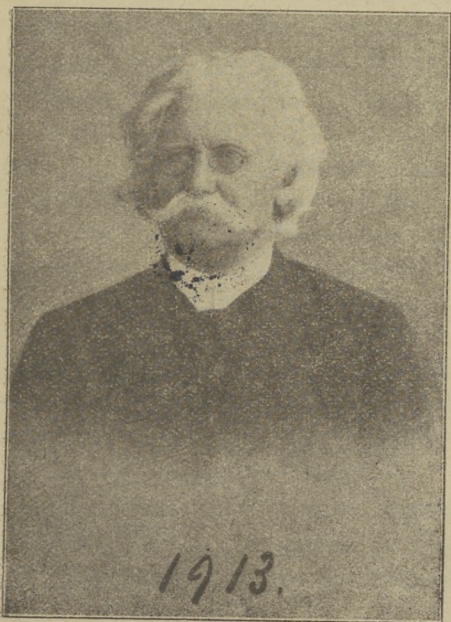
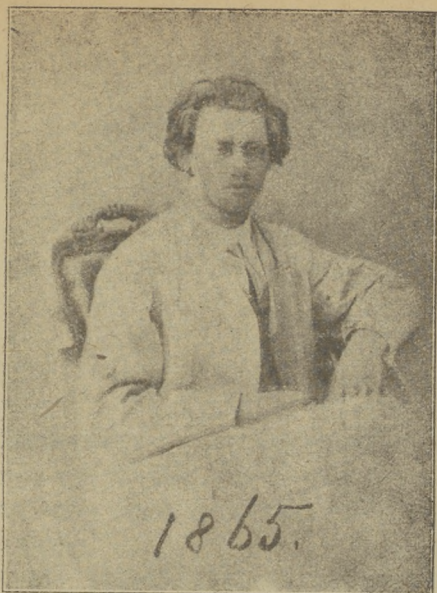
Umieszczony tutaj dodatek p. t. „JAK ONI UMIERALI“ podał Autor między materiałami, dołączonemi do tomu 2-go jego dzieła p. t. „Rok 1863 na Rusi (Ukraina, Wołyń, Podole)“, ogłoszonego we Lwowie w 1903 r.

II. 493. 192

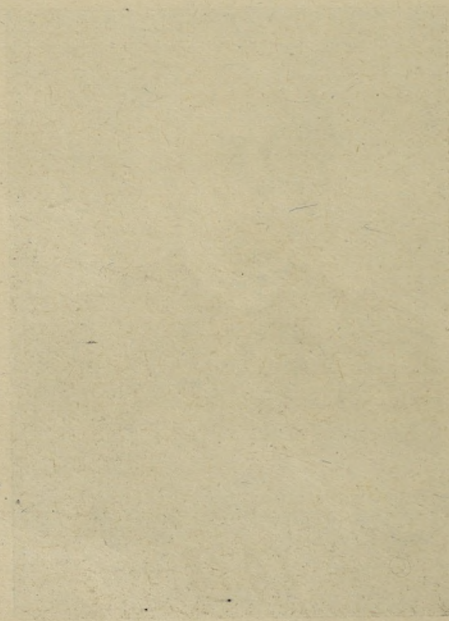
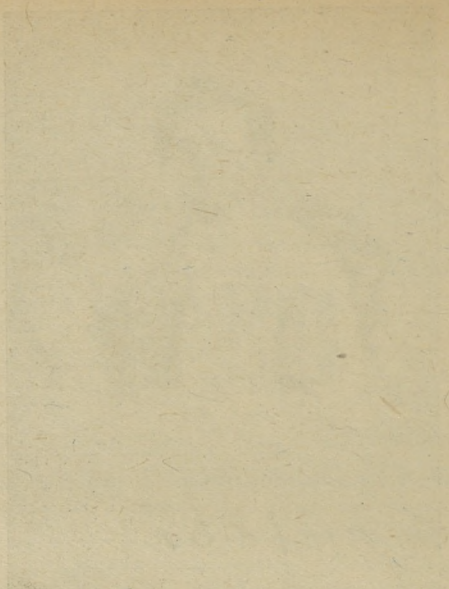


Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka“
Warszawa, ul. Moniuszki № 11. Tel. 190-93.

1958 D 148/23



Autor „Moich przygód“ w r. 1865 i 1913.



1866

OD AUTORA.

Lubię rozmawiać z moim czytelnikiem, gdy mu coś daję, co wymaga wyjaśnienia. Nie chcę, ażeby się on, wzięwszy książkę do ręki, spodziewał ode mnie więcej, niż mu dać pragnę i mogę.

Czytelnik nie znajdzie tu ani bohaterskich czynów, których nie dokonałem, ani pretensji do zasług i chwały.

Gdy dzisiaj, po pięćdziesięciu przeszło latach, zastanawiam się nad tem, co się stało, widzę, że był to czyn impulsywny, samorzutny, bez świadomości zarówno dodatnich jak i ujemnych następstw, a jednak nie pozbawiony znaczenia psychologicznego. Był on poprostu echem tej duszy zbiorowej tamtoczesnego polskiego społeczeństwa ukraińskiego, jaka się zarysowała nie w nadziei zwycięstwa, lecz tkwiła głębokimi korzeniami w idei kierowniczej, żyjącej w samym czynie powstania w roku 1831 i 1863. Staliśmy wówczas tak mocno na gruncie historycznej Polski, na słuszności naszych praw, że nikomu przez myśl nawet nie przeszło, ażeby Polska mogła odrodzić się inną. Nawet grupa tak zwanych „chłopomanów“, najdalej odchylająca się od tej idei, z hasłem „pracy dla ludu ruskiego“, z małym bardzo wyjątkiem, tak lub inaczej brała udział w powstaniu w imię jedności i całości historycznej Polski, łudząc się tylko, że lud ruski zdoła pociągnąć do powstania pod hasłem wolności, którą ja-

koby tradycyjnie przechowywał. Prawda, że miał tradycje, ale inne — młodzież nie dostrzegała tego.

Tradycje wolności i niepodległości żyły rzeczywiście, ale tylko w polskim społeczeństwie, i one były tą dźwignią, która poruszyła je do powstania.

Dopiero wielka wojna przekonała nas, że szeroko pojmowane prawa nasze narodowe i państwowe trzeba zwięzić, szczególnie gdy stanęła przed nami alternatywa: albo korzystać z rzadkiej w dziejach sposobności i odbudować mniejsze państwo, nie dążąc do historycznych granic, albo nie odbudować go wcale; tembardziej że się pokazało, iż oderwana od Polski Ruś nie posiada tak mocnych łączników z nami, ażeby na nich i z niemi można było budować przyszłość państwa polskiego.

Pozostawała zatem konieczność — niezrzekania się swoich praw historycznych państwowych, ale czekania chwili stosownej, któraby znowu pozwoliła oprzeć granice nasze o Dniepr, jak to się stało po dwudziestoletniej wojnie z Kozacyzną i Moskwą, mocą traktatu 1667 roku.

Ja byłem także kością z kości starego polsko-ruskiego społeczeństwa ukraińskiego i mogłem z czystym sumieniem powiedzieć o sobie: gente Ruthenus, natione Polonus. Ukraina była dla mnie częścią ojczyzny polskiej, częścią Rzeczypospolitej. Praojcowie moi orali ziemię, którą odbierali nie ludziom, ale dzikim zwierzętom stepowym; w obronie tej ziemi kładli głowy swoje bezimiennie, ginęli w jasyrze tatarskim, wójtowali wielkim — na owe czasy — miastom ukraińskim, rozsiewali prochy kości swoich po tajgach sybirskich, pokutowali za polskość swoją po Wołogdach, z tęsknotą do Polski kładli się do grobu na cmentarzach paryskich, zapatrzeni w nadzieję odbudowania Polski.

Tradycja ducha polskiego, tradycja państwowości polskiej tkwiła niewidzialnie we krwi mojej. Nosilem historję w sobie, zanim los pozwolił mi być w drobnej mierze opowiadaczem krwawych dziejów Ukrainy. Kiedym w pół-

tora roku po wyjściu z więzienia przecinał wpoprzek Wołyn od Żytomierza aż po Włodzimierz, kiedy oglądał Hoszczę Kisielową, ruiny arjańskiej szkoły, gdy stał w Zwiahu na górze, niegdyś zamkowej, na której z cegieł, pamiętających chwałę Polski, pobudowano cerkiew i patrzył na prześliczną dolinę Słuczy, gdy widział potężne ruiny Witoldowe w Łucku, gdy wszedł do wnętrza wielkiego niegdyś kościoła w Korcu przez szczelinę drzwi, zabitych deskami, i ujrzał pustkę, sponiewieraną przez zwierzęta i ludzi gorszych, niż zwierzęta: stanęła w wizji mojej młodzieńczej wielka przeszłość Rzeczypospolitej, wielka jej chwała i wielkie nieszczęścia. Nieśkłonny do łez, rozplakałem się, stojąc pośrodku ogołoczonego ze wszystkiego przybytku, poświęconego Bogu, i przez łzy czytałem słowa, niewiadomą ręką węglem na ścianie napisane: „Panie, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią“...

Była to chwila przełomowa w mojem życiu. Starałem się poznać tę przeszłość, której ruiny oglądałem. Kamienie wzbudziły we mnie miłość przeszłości. Poznawszy ją, stałem się jej obrońcą. Pięćdziesiąt lat mija, odkąd nie z szablą w ręku, jak praojcowie nasi, lecz z piórem cień mój przesuwają się ponad ruinami zamków i zameczków ukraińskich, błąka się po stepie i zatrzymuje się tam, gdzie zatarte zostały ostatnie ślady przeszłości. Ale ta przeszłość żyje. Wiatr stepowy o niej gada, burzany szleszcząc rozmawiają o niej, a niejedna cegła z kościołów kijowskich, z których budowano cerkwie, ze śladami krwi legła pod cudzą budowę.

Tu szukać należy przyczyny, dlaczego ja i inni nosili w duszach swoich nieświadomy obowiązek czynu, gdy echo przynosiło ku nam nadzieję. Czyn ten i teraz się budził, i teraz, jak w roku 1863, zakończył się krwawo. Ale życie historyczne nasze i całej Rusi idzie naprzód i nie kończy się z życiem człowieka. Jak dla Francji Ren, Alpy i Pireneje są naturalną granicą, tak dla

nas Odra, Bałtyk i morze Czarne, zamknięte prawem dorzeczem Dniepru, Niemnem i Dźwiną. Granice państw tworzą nie tyle traktaty, ile budowa naturalnego terenu.

Ruś, o którą walczyliśmy jako o część Rzeczypospolitej, nie jest z nami, ale być musi i będzie — chociaż w dalekiej przyszłości.

Józefów pod Warszawą,
w październiku 1921 r.

I.

Noc z 8-go na 9-go maja.

Na kilka dni przed wybuchem powstania kijowskiego, na rogu ulicy Kuźnicznej i Żandarmskiej, spotkałem Władysława Szaramowicza, kolegę mego szkolnego z kijowskiego gimnazjum II-go. Był on bratem głośnego z wielu względów Gustawa, który zginął bohaterską śmiercią w Irkucku. Z Władysławem kolegowałem rok czy dwa zaledwie — nie pamiętam. Dość, że w szóstej klasie już go z nami nie było. Ówczesne gimnazjum miało tylko siedem klas. Mówiono, że przeniósł się do Żytomierza. Po dwuletнім niewidzeniu się ledwie go poznałem. Sam mię zatrzymał i zaczęła się koleżeńska rozmowa. Zwróciłem uwagę na to, że Szaramowicz był ubrany w kurtkę z kołnierzem i rękawami obszytymi skórą, miał na sobie długie buty i czapkę (kepi) skórzaną. Nie był to jeszcze czas na ukończenie szkół, gdyż dopiero za sześć tygodni miano przystąpić do egzaminu maturalnego.

— Cóż ty tu robisz? — spytałem.

— Uwolniłem się z gimnazjum — odrzekł zuchowato.

— Jakto? Teraz? A egzamin?

— Eh, ktoby to o egzaminie myślał! — odrzekł lekceważąco. — Niezadługo wychodzimy z Kijowa... będziemy bić Moskali...

Po krótkiej rozmowie na ten temat rozstaliśmy się.

Nie wiedziałem wprawdzie dokładnie, kiedy wychodzimy z Kijowa i kiedy będziemy bić Moskali, ale uważałem

to wszystko za rzeczy i sprawy zupełnie naturalne. Inaczej być nie mogło. Dwa lata żyliśmy w tej atmosferze — bezbrzeżnego zaślepienia i lekceważenia Moskali. Rozgorączkowanie było tak wielkie, że literalnie nikt nic nie robił. Wszyscy przygotowywali się do powstania. Ci, którzy byli wtajemniczeni, wiedzieli to i owo. My, młodzież szkolna, żyliśmy tylko podnieconemi marzeniami, w oczekiwaniu czegoś niewiadomego, nadzwyczajnego. O powstaniu mówiono głośno, wszędzie, wszyscy mówili. Nie było innego domu w Kijowie. Wprawdzie nie wiem, czy w owe czasy Kijów posiadał więcej nad dziesięć tysięcy Polaków, ale wszystko, co było inteligencją, stanowiskiem, szkołą — było polskie. Szczególnie uniwersytet i gimnazja były przepełnione naszą młodzieżą. Polacy nadawali charakter miastu. O władzach moskiewskich można powiedzieć, że siedziały, stuliwszy uszy. Groza niepewności wisiała nad nimi, według przysłowia: „na złodzieju czapka gore“.

Zapomniałem już był o owym przypadkowym spotkaniu się z Szaramowiczem, gdy 26 kwietnia starego stylu, nad wieczorem, wyszedłszy z domu, o kilkanaście kroków przed bramą spotkałem dwóch kolegów. Jednym z nich był Leonard Słomowski, wysłany później na Sybir. Drugiego imienia nie wymieniam, gdyż ów kolega — z czasem poważny obywatel, bardziej tuszą, niż umysłem — do powstania nie poszedł. I nie żałował tego. Wytrzeźwiał zupełnie. Utrzymywał potem, że najsilniejszym narodem są Moskale, bo mają najwięcej więzień; najmądrszym zaś żydzi, bo mają najwięcej pieniędzy. Przed pierwszym ideałem — pochylał karku, do drugiego usilnie dążył. Wówczas był to młodzieniec dość zapalny i byłby do powstania poszedł, ale opowiadał, że mama nigdyby mu tego nie przebaczyła.

Przywitaliśmy się wesoło. Wieczór był jasny, słoneczny, ale jakiś gorący. Zaprosiłem obu do siebie. Słomowski przystąpił odrazu do rzeczy.

— No, dziś wychodzimy. Wiesz?

— Nie wiem. Ale dobrze.

Stanowczość moja znacznie skróciła rozmowę.

— Jakże tak... zaraz? — spytałem po chwili.

— Wieczorem, dziś.

— Ależ ja nie mam żadnego ubrania stosownego, żadnej broni.

Miałem na sobie lekki płaszcz i laseczkę trzciniową; w domu broni żadnej.

— To nic nie znaczy. Ubranie i broń są przygotowane; otrzymamy je na punkcie zbornym.

Jak można nie wierzyć koledze, kiedy się ma szesnaście lat i żyje się w codziennej gorącej atmosferze podniecenia?

Nie wiem, czyśmy godzinę nawet bawili, gdy słońce ku zachodowi się pochyliło.

— Chodźmy — odezwał się Słomowski — ja cię zaprowadzę.

Nie pytałem nawet, dokąd zaprowadzi, tak byłem pewny, że kroczyć mogę tylko do czegoś dobrego, doskonałego, jasnego. Można to nazwać lekkomyślnością młodzieńczą, a można — czemś piękniejszym. Nie wiem. Dość, że poszedłem ze Słomowskim. Drugi kolega zgubił nam się po drodze.

Wyszliśmy na ulicę Wielką Wasylkowską i podążyliśmy przez Kreszczatyk w kierunku tak zwanej Tołkuczki (dziś w tym miejscu ratusz). Tu skręciliśmy na lewo i weszli na ulicę Staro-Żytomierską.

Już było dobrze szaro, gdyśmy przez furtkę wsunęli się do obszernego dziedzińca. Ulica pochyła. Dom wielki, murowany. Skutkiem pochylenia ulicy, dom ów posiadał rodzaj suterenu, do których wchodziło się z dziedzińca. Utkwiło mi w pamięci kilka kwadratowych murowanych kolumn, tworzących rodzaj otwartego korytarza. Pod kolumnami weszliśmy do obszernego, ale dość ciemnego mieszkania, widocznie studenckiego. Kręciło się tam kilku młodych ludzi, przybywali inni. O ile przypomnieć sobie

mogę, było takich młokosów, jak my, 20—30. Ktoś starszy — akademik — odgrywał rolę gospodarza. Wszyscy byliśmy bez broni i ubrani leciuchno, gdyż dzień był ciepły i słoneczny. Rzadko kto chował pod płaszczem pałasz lub pistolety. Chociaż nieznajomi, wiedzieliśmy jednak, pociosmy się tutaj zgromadzili.

Słomowski przedstawił mnie.

Wszystko odbywało się półszepem, z miną tajemniczą. W pokojach nieład, jak w czasie przeprowadzki.

Ów pan, niby gospodarz, widząc, że nie mamy broni, wskazywał na wielkie drewniane paki, stojące pod kolumnami, i mówił półgłosem:

— Tu jest broń... Na punkcie wam rozdadzą. Zanim panowie przyjdą, już broń tam będzie.

Staliśmy w niepewności. Już wieczór zapadał.

— Pójdziemy dwójkami — mówił gospodarz — ażeby uwagi nie zwracać. Proszę uważać, żeby się nie gubić. Za miastem będziemy mogli połączyć się. Proszę wychodzić nie razem...

Korzystając z wieczora, zaczęliśmy się wysypywać z tego domu dwójkami. Znaleźli się przewodnicy, którzy drogę znali. Gdyśmy wyszli na miasto, już prawie noc była. Trzymaliśmy się ze Słomowskim razem, przyrzekając sobie wzajemnie w razie niebezpieczeństwa.

Naszą gromadę prowadził jakiś K... Tylko pierwszą literę nazwiska jego zapamiętałem. Był to mężczyzna słuszny, silny, o dość dużym zarobku. Nigdy go przedtem nie spotkałem.

Na ulicy Podwalnej weszliśmy do jakiegoś domu. Ulica głucha, ani żywej duszy. Półciemno, latarnie z lampami olejnymi ledwie migocą. Otworzono nam drzwi. Wsunęliśmy się pojedynczo do domu. Wszystko w ciszy, w tajemnicy, w jakimś nastroju poważnym, powiedziałbym, smutnym.

Mieszkała tu znana w Kijowie rodzina Boh... Przeszliśmy przez ciemny salon, którego okna wychodziły na ulicę, do pokoju jadalnego. Było nas sześciu czy siedmiu. Pan K. przedstawił nas.

W pokoju było kilka kobiet i jeden mężczyzna, może lat trzydziestu kilku, o rudej, przyszyżonej brodzie. Kobiety były w czarnych sukniach. Gospodyni domu, stara i poważna matrona, zmierzyła nas okiem.

— Tacy młodzi... dzieci...

Nie wiem, poco nas tu przyprowadzono. Zdaje się, że K. chciał się przedstawić po rycersku.

Po kilku słowach zamienionych, nie wiedzieć dlaczego, kobiecie starej pokazały się łzy w oczach. Wyszeptała jakiejś słowa błogosławieństwa. I mnie serce drgnęło: stanęła mi w myśli matka i rodzina, których opuściłem pokryjomu, bez pożegnania.

K. zakomenderował:

— Chodźmy!

Pocałował panie w rękę kolejką. My także.

Zaczeliliśmy wychodzić do ciemnej sali.

— Proszę poczekać... Maryniu! — odezwała się stara — przynieś, moje dziecko, krążek buljonu!

Los padł na mnie. Czy dlatego, że byłem najmłodszy, czy że stałem najbliższy, dość, że ów buljon do rąk moich się dostał.

— Proszę to wziąć... Do krupniku kawałek wrzucić... to się przyda...

I wyszliśmy. Ja, zamiast broni, z buljonem pod pachą.

Deszczyk kropić począł, gdyśmy się do t. zw. Sołdackiej Słobódki zbliżyli. Dziś jest to już wielka i zabudowana dobrze ulica; wówczas liche przedmieście, o nieregularnie siedzących domkach, niskich, parterowych. Przez całe przedmieście prowadziła szeroka, ale falista droga Oświetlenia prawie żadnego. Tu i ówdzie, w oddaleniu kilkuset kroków, paliły się z początku latarnie olejne, a potem i tego zabrakło. Szliśmy tedy środkiem ulicy ku-



pami po kilku i kilkunastu, głośno rozmawiając. Nigdzie żywej duszy. Fantazja i ochoczość w nas były takie wielkie, że zapytywaliśmy się wzajemnie, czy już można huknąć: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Czuliśmy nieświadomie, że żyje ona w nas, bez względu na to, czy zginie, czy nie. Jedynymi towarzyszami naszej wędrówki do niewiadomego punktu zbornego były psy, które z domów przydrożnych wyskakiwały, głośno i hałaśliwie poszczekując.

A deszcz tymczasem coraz większy padał i ciemność stawała się coraz głuchsza, cichsza, posepniejsza. Miasto małało za nami, kończyło się coraz niższymi domkami, coraz bardziej oddalonymi — aż znikło nareszcie. Znaleźliśmy się w polu. Przewodnik nasz szedł przodem, a my grupkami za nim, nie tylko wśród deszczu i ciemności, lecz w zupełnej nieświadomości, dokąd dążymy. Ciemność była taka, że ledwie jeden drugiego obok siebie widział. Instykt samozachowawczy począł nas skupiać i niepokoić. Acz nieznani sobie wzajemnie, szliśmy do jednego celu, w jednej myśli, jednakiem uczuciem ożywieni. W takich warunkach, można śmiało powiedzieć, był to zapal bardzo podobny do poświęcenia się. Dziś, jako dojrzały ludzie, możemy ganić łatwowierność, ale nie uczucia, które w nas tkwiły i nas wiodły. Niepokój, niepewność powoli, w miarę posuwania się, ogarniać nas począły. Śród ciemności i deszczu nie sposób było zorjentować się, ani gdzie jesteśmy, ani dokąd dążymy. Ten i ów odezwał się, że zbłądziliśmy. Głos z przodu utrzymywał, że dobrze idziemy. Spojrzeć na zegarek było nie sposób, gdyż pokazało się, że nikt nie posiada zapalek. Weszliśmy na zorane pole. Przykrość naszej podróży zwiększyła się o tyle, że rozmokłe pole z trudnością pozwalało nam posuwać się naprzód. A byliśmy wybrani wcale nie do podróży, niezabezpieczeni od deszczu niczem, literalnie niczem, gdyż napół letnie ubranie oddawna już przemokło zupełnie. Gorączkowe podniecenie nie pozwalało nam z początku odczuwać ani niewygód, ani zmęczenia, ani przemoknięcia.

Szliśmy ciągle i ciągle w tem mniemaniu, że idziemy naprzód, że cel podróży bliskim już być musi. Według czasu sądząc, już byliśmy dobrze północ minęli. Ciemność wszakże i deszcz nie zmniejszały się ani na chwilę. Zaczęliśmy uczuć znużenie. Znowu poczęły odzywać się głosy, żeśmy zblądzieli. Gdzie jest ten, co nas prowadzi? Poczęliśmy się oglądać za nim, pytać, — pokazało się, że przewodnik nagle prawie zniknął. Trudno było przypuszczać, żeby znikł rozmyślnie. Gdyby nawet miał taki zamiar, nie mógłby się zorientować wśród ciemności i nie wiedziałby, dokąd uciekać. Łatwiejszem było drugie przypuszczenie, że się zbląkał z powodu nocy. Już poprzednio od gromadki odłączali się inni i rozpływali się w ciemności. Kupka nasza stawała się coraz mniejszą. Gdyśmy się zatrzymali dla porachunku i narady, zdaje mi się, że nie więcej nad dwadzieścia osób naliczyłem.

Już było dobrze po północy; deszcz, ciemność; zbiliśmy się w kupkę i na ustach wszystkich stało jedno pytanie: co robić? Odzywała się w niem i trwoga niepewności i świadomość niebezpieczeństwa. Obudziła się rozwaga, której przedtem nie było.

Po trzech godzinach mieliśmy stanąć na punkcie zbornym razem z innymi, broń otrzymać i ruszyć dalej. Upłynęło tymczasem mało nie trzy razy tyle godzin, a my nietylko do celu nie doszliśmy, lecz nie wiedzieli nawet, gdzie się znajdujemy, bez kompasu, bez przewodnika, bez drogi. Jedną była tylko rzecz jasna: żeśmy zblądzieli.

Na pytanie: co robić? wszystkie niemal głosy odezwały się: „iść, iść naprzód, dalej, może gdzie przecie ze swoimi spotkamy się, może już niedaleko jesteśmy celu“. Ktoś zaproponował wracać. Ale powrót również był niepewny i niebezpieczny, jak dążenie naprzód. Zaprotestowano gorąco. „Nie nato wyszliśmy, ażeby wracać“ — była jednobrzmiąca prawie odpowiedź. Znalazł się ktoś, kto na czele stanął — i zmęczeni, osłabieni, nie tyle bląkaniem

się wśród nocy, ile gasnącą nadzieją połączenia się z innymi, ruszyliśmy dalej. Deszcz zaczął padać coraz silniejszy a drobny, tak że ciemność nocy zdawało się zwiększać. Śród tej wędrówki uczułem nagle, że mi ziemi pod nogami zabrakło — runąłem jak długi. Nic nie widziałem, czułem tylko, że toczę się, zaczepiam o krzaki, lecę niżej i niżej — wreszcie znajduję się na dnie jaru. Ciemność zupełna. Tylko na samym spodzie, środkiem, wije się wąska, jaśniejsza smuga piasku. Zrywam się na równe nogi — nic nie widzę. Obmacuję głowę, boki — okularów niema, czapka gdzieś zawisła na krzakach, krążek buljonu, który tak dumnie niosłem przez całą drogę, znikł w zawierusze. Nie byłem wszakże w jarze sam: smutny los innych tam wprowadził. Poczęliśmy krzyczeć ku górze, ażeby się zatrzymano, i pociemku na czworakach wydobywać się z matni.

Wołam Słomowskiego — znikł. Gdzie się podział? nie wiem. Potem znalazł się na Syberji.

Po wydobyciu się z jaru ruszyliśmy dalej zupełnie naoslep. Złączyć się z innymi stało się gorączkowym pragnieniem wszystkich. Nie było żadnego nawoływania do powrotu, żadnych protestów, żadnych skarg, chociaż cała gromada składała się z gimnazjalistów, między którymi, z wyjątkiem przewodnika, najstarszy mógł liczyć zaledwie lat siedmnaście. Nadzieja połączenia się z innymi i dojścia do upragnionego zbornego punktu malała, mimo to szliśmy ciągle pod drobnym deszczem, powiedziałbym, z uporem i stanowczością ludzi zdecydowanych. Szliśmy dosłownie naoslep.

W tej wędrówce zasłiśmy niewielką pochyłością do obszernego i szerokiego jaru. Tu i ówdzie widać było białe piaszczyste żebra, a jasność od piasku bijąca pozwalała nam rozpoznać jako-tako kontury jaru. Zdało się nam, że szarzyć poczyna. Na horyzoncie ledwie dostrzeżone widać było ciemniejsze, zbite masy. Jedni utrzymywali, że to las, drudzy, że obłoki. Deszcz przestał padać.

Wtem wśród ciemnej ciszy nocnej czyjeś bystrzejsze ucho pochwyciło jakieś echo. Poczuliśmy przytulać uszy do ziemi — tętent kopyt rozlegał się wyraźnie.

— Kozacy pędzą! — wyrwało się z ust wszystkich prawie.

Przyznam się, że nie miałem pojęcia o niebezpieczeństwie. Rzeczą było jasną, że jesteśmy blisko drogi, a dwie drogi mieliśmy przed sobą: Starożytomierską i nowy bity gościniec, także wiodący do Żytomierza. Jeżeli to kozacy, to lecą w pogoń za powstańcami, którzy przed nami wyszli. Spotkanie się było nieuniknione.

Ledwieśmy pociemku odbyli naradę nad tem, co robić, echa kopyt końskich zabrzmiały tuż nad nami. Z której strony? Drogi nie było widać. Pokazało się, że w całej naszej gromadzie jeden posiadał parę pistoletów, a kilku zwykłe noże kuchenne. To było całe uzbrojenie.

Szarzenie świtu stawało się większem. Za chwilę pokazała się linja kozaków, pędzących dobrym kłusem. Lecieli wprost na nas. Spostrzegliśmy, zanim byli o kilkadziesiąt kroków od drogi. Konie zaczęły parskać. Naraz błysnęło w ciemności. Padł strzał jeden, potem drugi: to nasz towarzysz nieznamy na wiatr wystrzelił, bo kule nie mogły zaszkodzić kozakom.

Nagle linja kozacka zmała się, złamała, naraz się zwróciła — i padło znowu kilka ślepych strzałów z ich strony. Z naszej ani jeden więcej. Ciemność była tak wielka, że nie można się było jeszcze rozpoznać dokładnie. Kozacy prawdopodobnie wzięli nasze przypadkowe spotkanie za zasadzkę i cofnęli się ostrożnie. Ilu ich było? Nie wiem. Nic nie wiedzieliśmy o sobie.

Nie mając broni, a widząc kozaków przed sobą, poczuliśmy się tym samym jarem cofać i w krótkim czasie znaleźliśmy się w krzakach. Coraz było widniej. Na dalekim horyzoncie snuli się kozacy, jakby gonili kogoś, jakby tworzyli łańcuch. Tymczasem nasza gromadka rozpierzchła się w krzakach jak kuropatwy. Czasem dolaty-

wały jakieś wrzaski, krzyki. Później dowiedziałem się, że to mordowano lub okładano nahajkami moich towarzyszków niedoli.

Nie wiem już, jakim sposobem, dość, że znalazłem się sam. Ranek szarzyć poczynał. Zacząłem rozglądać się i ze zdumieniem spostrzegłem, że byłem niedaleko lasku kadetów, który znałem doskonale, a zatem kilka kilometrów tylko od Kijowa, i to w kierunku zupełnie przeciwnym, niż nam dążyć należało. Zdaje się, że był to silny patrol kozacki, z którym spotkaliśmy się.

Bez czapki i bez okularów przedarłem się do lasku, okrążyłem go, przeszedłem wśród rzeczki Łybed i ani żywej duszy nie spotkawszy, wkroczyłem od strony dzisiejszego dworca kolejowego do miasta, następnie okrążyłem ogród botaniczny i koło obserwatorium wszedłem na ulicę Włodzimierską. Słońce co tylko wzeszło. Miasto spało jeszcze, kiedy się znalazłem w tym samym pokoju, z którego wyruszyłem na smutną wędrowkę.

II.

Po powrocie z wyprawy.

Los oszczędził mi w tym fatalnym poranku nahajki kozackiej. Ledwie drzwi otworzyłem, zetknąłem się z matką. Widząc mnie ubranego w porze tak niezwyklej, bez kapelusza, bez okularów, w ubraniu zmiętym i potarganym, zatrzymała się zdziwiona i spytała:

— A ty skąd wracasz?

Odpowiedziałem dwuznacznie:

— Z tamtego świata.

Oczywiście, odpowiedź moja była dla niej nowym zdziwieniem, tembardziej że wychodząc nie powiedziałem wcale, gdzie idę.

Opowiedziałem pokrótce, co zaszło i jakim sposobem wróciłem.

Odświeżyłem się trochę i wyszedłem na miasto. Nie miałem żadnego zamiaru. Wyszedłem, poprostu, ażeby kogoś spotkać, czegoś się dowiedzieć, bo sam nie wiedziałem nic nad to, co tu wyżej napisałem. Machinalnie skierowałem się ku Kreszczatykowi. W owym czasie rozpoczynał się on dopiero od rogu bulwaru, noszącego nazwę Bibikowa. Na rogu hotelu Angielskiego spotykam się z Malherbes'em. Był to nasz nauczyciel języka francuskiego. Dogonił mnie. Ukłoniłem się. Malherbes zatrzymał się na ulicy. Dostrzegłem, że był zaaferowany, niespokojny. Już samo zatrzymanie się dla rozmowy z byłym uczniem zdradzało w nim gorączkowy niepokój. Oczywiście, wiedział o tem, że „młodzież wyszła“, pozostali tylko ci, którym wyznaczono jakąś funkcję w mieście.

Zapytał mnie półgłosem:

— Są jakie wiadomości?

— Nic nie wiem — odpowiedziałem krótko i powtórzyłem tylko to, co zaszło z nami.

Wysłuchał milcząco. Ukłonił się trochę sztywnie, po profesorsku, i rozstaliśmy się, ażeby się już nigdy w życiu nie spotkać. Rząd, nie znajdując dowodów winy jego, a wiedząc, że tylko z nazwiska był Francuzem, że miał duży wpływ na młodzież, wysłał go podobno z Kijowa.

Tego dnia z nikim się już nie zetknąłem.

Nazajutrz rano na bulwarze Bibikowa, tuż prawie przy wylocie dawnej Jelisawetyńskiej, na rogu domu, gdzie się mieściła w roku 1856 bursa szlachecka, spotkałem Ochrymowicza. Było ich trzech braci — tylu znałem. Jeden kończył już uniwersytet, drugi gimnazjum wraz ze mną, o trzecim nic mi w pamięci nie pozostało. Imienia kolegi mego nie pamiętam.

Rodzina Ochrymowiczów zajmowała ogromny dom parterowy na ulicy Jelisawetyńskiej, naprzeciwko placu przed uniwersytetem. Wówczas była tylko z jednej stro-

ny zabudowana, z widokiem na uniwersytet. Później część sprzedano pod budowę domów prywatnych, a na większej części, dotyczącej uniwersytetu, założono park. Rodzina Ochrymowiczów uchodziła za polską i dom prowadziła na stopie polskiej. Opowiadano jednak, że stary Ochrymowicz pochodził z Galicji, był unitą i przesiedlił się do Rosji w r. 1848 wraz z kilkoma innymi rodzinami. Ponieważ Rosja nie uznawała unji, a może i z własnego popędu, został prawosławnym. Domysł ten znajduje potwierdzenie w tem, że, o ile przypominam sobie, na wykładach religji i historii Kościoła kolegi mego nie widywałem. Ale z nami rozmawiał zawsze po polsku.

Ochrymowicz już wiedział o powstaniu. Nie było to tajemnicą dla nikogo w Kijowie. Już krążyły jakieś echa o spotkaniu się w Romanówce, o rozpedzeniu naszej kupki.

Rozmawiając, poszliśmy do niego. Bracia urządzili sobie letnie mieszkanie nad wozownią, opodal od domu. Trzeba się było po schodach dostawać do niego. Zastaliśmy tam starszego brata. Przygotowywał się do jakichś egzaminów. Był to brunecik, raczej szatyn, średniego wzrostu, szczupły i wydał mi się dość zarozumiałym. Rozmowa naturalnie o tem, co zaszło. Z rozmowy pokazało się, że pozostał w Kijowie w roli niby kwatermistrza — czy coś podobnego. Mówiono, że miał dostarczać powstańcom broni i żywności, pośredniczyć między nimi a rodzinami, opiekować się jeńcami. Takie również wyniosłem wrażenie z rozmowy. Nigdy go wszakże w tej roli nie spotykałem później. W kilkanaście lat potem opowiadano mi, że, z tytułu zapewne swego wyznania, uważał się za Moskala i w Chełmszczyźnie odgrywał rolę niezbyt zaszczytną. Nie miałem sposobności sprawdzić tego.

Tymczasem nadchodziły wiadomości coraz pewniejsze i dokładniejsze o zupełnem rozbięciu powstania kijowskiego. Część tylko przerwała kordon i w lasach owruckich schroniła się nie na długo. Taki sam, o wiele nieraz groźniejszy

los spotkał inne oddziały powstańcze. Napływać zaczęły do Kijowa partje więźniów, a raczej jeńców ze wszystkich stron. W partji białocerkiewskiej ujrzałem brata mego ciotecznego Kaliksta Wekera, ucznia gimnazjum w Białej Cerkwi. Niektórzy szli pieszo, skrępowani powrozami, inni, słabsi, siedzieli na wozach. Konwój żołnierski otaczał partję. Wszystko to zapylone, wybladłe, wymęczone. Wogóle wszelkie transporty jeńców odbywały się z pewnego rodzaju ostentacją, wystawą, prowadzono ich głównymi ulicami miasta wśród brutalnych wykrzyków motłochu, pokazywano zwyciężonych i upokorzonych, jakby umyślnie chciano naocznie pokazać swoją potęgę i następstwa za „bunty“.

Garstka Polaków pozostałych w Kijowie zaczęła organizować się do pomocy więźniom, których liczba zwiększała się codziennie. Jeńców z pola bitwy rozmieszczono w trzech punktach: Kosym Kopanirze, Reducie Środkowej i Półokrągłej Baszcie. Celkowe więzienia były w Kijowskich wrotach, na odwachu, w ziemi, tak że tylko małe zakratowane okienka widać było na poziomie ulicy. Więzienia te były najcięższe, bo niskie i sklepione, tak że niepodobna było stanąć wyprostowanym, trzeba było leżeć. W Cytadeli było więzienie celkowe, noszące głośną nazwę № 14 (prawdopodobnie numer budynku) i wreszcie w tak zwanej Okrągłej Baszcie, czyli Prozorowskiego, z widokiem na dzielnicę Kijowa, noszącą nazwę Nowe-Miasto (Nowoje Strojenije).

Ponieważ jeszcze przed wojną, raczej przed powstaniem, robiłem częste wycieczki do Ławry i za Dniepr, a droga wiodła przez Peczersk, czyli tę dzielnicę, która cała weszła w obręb zabudowań fortecznych, miałem sposobność doskonale poznać całą fortecę, wszystkie jej części składowe, wszystkie drogi i ścieżki, które je łączyły. Przydało mi się to później.

Ochrymowicz, spotkawszy się kiedyś ze mną, powiada:

— Wiesz, ja temi dniami zrobię coś takiego, o czym wszyscy mówić będą.

Nie powiedział mi, co by to być miało.

W kilka dni potem dowiedziałem się, że zostałem aresztowany. Ani powodu, ani szczegółów nie znałem. Tajemnica wyjaśniła się dopiero w fortecy, kiedyśmy wspólnie znaleźli się w Baszcie Prozorowskiego na tym samym korytarzu, o kilka celek od siebie.

Ktoś mi powiedział, że w Kosym Kopanirze siedzi Słomowski. Była to reduta prawie w ziemię wkopana, o ile sądzić mogłem, broniąca tej części twierdzy, w której znajdowały się obszerne zabudowania szpitala wojskowego. Kopanir ów miał strzelnice do dział skierowane na wielką dolinę rzeczki Łybedi. Był to budynek półokrągły z cegły, siedzący jakby w dole; przed nim maleńki dziedziniec, na który wiodły drzwi z reduty. Stojąc na wale, otaczającym ją i dziedziniec, widziało się doskonale więźniów wchodzących i wychodzących „z potrzebą naturalną”. Więźniowie i cały kopanir otoczony był strażą. Stanąwszy na najbliższym dziedzińcu cyplu wału, można było rozmawiać z więźniami, pomimo zakazu warty.

Miejscowość ta ze wszystkimi ścieżkami i przechodami znaną mi była dobrze, gdyż opodał wiodła droga do szpitala wojskowego, gdzie rok przedtem siedział w więzieniu krewny mój January Szostakowski, wówczas słuchacz na wydziale matematycznym w uniwersytecie Kijowskim, którego odwiedzałem:

Stanąwszy na wale, zapytałem pierwszego więźnia, który się na dziedzińcu ukazał, czy niema między nimi Słomowskiego. Nie było. Wiadomość moja nie była prawdziwa. Ciekawość młodzieńcza zatrzymała mnie na miejscu. Stałem i przypatrywałem się maleńkiemu dziedzińcowi, prawie trójkątnemu, przez który zawsze ktoś przechodził. Ukazał się także jakiś młody człowiek, jak mi się wydało, około lat 30 i krzyknął do mnie:

— W hotelu Europejskim mieszka... — nazwiska już dzisiaj nie pamiętam — proszę poprosić, ażeby tu przyjechała.

Poszedłem do hotelu Europejskiego, na końcu Kreszczytku, przy samym zjeździe na Padół i przy drodze, wiodącej do pomnika św. Włodzimierza. Powiedziałem nazwisko pani. Wskazano mi numer, jeśli się nie mylę, 30-ty. Udałem się tam. Była może godzina 10-a rano, ale panie — dowiedziałem się po chwili, że były dwie — jeszcze się nie ubrały. Czekałem na korytarzu może kwadrans. Wyszły dwie panie: jedna młoda, druga starsza. Wyglądały na matkę i córkę. Opowiedziałem, co zaszło. Bardzo mi były wdzięczne, ale zakłopotane, gdyż nie wiedziały, ani gdzie jest ten kopanir, ani jak się dostać w pobliże, ażeby się skomunikować i przerzucić się bodaj kilkoma słowami. Ofiarowałem się za przewodnika. Ponieważ nie miały w towarzystwie swoim mężczyzny, musiałem zejść na Kreszczytkę i sprowadzić powóz parokony. Pojechaliliśmy razem. Odprowadziłem je do tego miejsca, skąd można było rozmawiać. Ów nieznan mi pan zjawił się wkrótce. Usunąłem się dyskretnie na bok i nie wiem, o czym rozmawiano. Gdy nareszcie straż spędziła je z tego miejsca, odprowadziłem obie do powozu, czekającego na ulicy, ówczesnej Małej Wasylkowskiej, i pożegnany serdecznie, rozstałem się z paniami.

Było to mniej więcej w końcu maja lub na początku czerwca. Na rogu Małej Wasylkowskiej i przecznicy, łączącej ją z Kreszczytkiem — nazwiska zapomniałem — był obszerny dom, na sposób hotelowy budowany, w którym mieszkali studenci uniwersytetu. Dom należał do pani Zukaniowej, a syn jej był moim kolegą szkolnym. W domu tym mieszkał także Słomowski. Młody Zukani wyszedł do powstania. Spotkałem się z nim, zdaje się, w roku 1873 w Kijowie. Udało mu się wykręcić. Otóż ktoś z dawnych znajomych, mieszkających w domu Zukanich, zatrzymuje mnie raz i pyta ze zdziwieniem:

- Mówiono, że pana aresztowano.
- Skądże ta wiadomość?
- Rebczyński — jeśli dobrze pamiętam nazwisko — mówił, że znaleziono kartki, gdzie ktoś spisał kilkunastu młodzieży, którzy w jednej partji wyszli z Kijowa, a w tym spisie było i pańskie nazwisko.

Zaśmiałem się. Młodość lekceważy niebezpieczeństwo.

— Wyszedłem i wróciłem — odpowiedziałem.

Tymczasem nastąpiła ucieczka Borowskiego z Reduty Środkowej, w której wziął udział Ochrymowicz. Ucieczka nie udała się: obaj zostali pojmani i aresztowani. Wiadomość o tem obiegła Kijów już na drugi dzień. O tym wypadku, z ust Ochrymowicza słyszany, kilka słów potem, bom się z nim zetknął dopiero w Baszcie Prozorskiego.

Nikt mnie nie zaczepiał.

Kiedyś, idąc na Peczersk do biura komendanta, ażeby wyrobić sobie pozwolenie widzenia się z bratem, przechodziłem przez szpital wojskowy. Wówczas nie przestrzegano jeszcze pilnie przechodu osób obcych. Zbliżając się do głównego budynku, spostrzegłem, że na prawym rogu, który skręcał półkolem, chodzi szyldwach. Tą stroną można było obejść szpital. Zaciękawiony, coby to być mogło, z alei, wysadzonej drzewami, skręciłem w tym kierunku. Widziałem zdaleka, że żołnierz przy tem półkolu zatacza wielki łuk: raz ukazuje się, dochodzi prawie do bramy, potem zawraca, obchodzi łuk i ginie z oczu. Doszedłszy do punktu, widocznie wskazanego mu jako najdalszy, zatrzymuje się i niby wypoczywa. Widać było, że się nudził. W tem miejscu, gdzie szyldwach krążył, w środkowym punkcie łuku, było okno zakratowane; widocznie z tego właśnie powodu szyldwach był ustawiony. Zbliżyłem się do tego miejsca, udając, że chcę przejść, i za kratami spostrzegłem jakąś postać, w białej mycce na głowie, w szlafroku szpitalnym, która, ujrawszy mnie — było to na parterze — poczęła robić ruch ręką, trzy-

mającą jakąś kartkę. Zrozumiałem, że chce mi ją oddać. Był to mężczyzna średnich lat i zdaleka wydawał się blondynem z odcieniem rudawym włosów. Korzystając z tego, że szyldwach zatoczył łuk i zniknął mi z oczu, podszedłem do okna i wziąłem kartkę. Rzucił mi adres, którego nie pamiętam. Kartkę przeczytałem. Były tam informacje, w jaki sposób zeznawać, ażeby się bronić. Kto był tym nieznanym? nie wiedziałem. Dowiedziałem się później, że był to oficer Doliwo-Dobrowolski, o którym będzie później mowa. Tą samą drogą przyniosłem Dobrowolskiemu odpowiedź. W kilka dni potem przyszedłem znowu i powtórzyłem ten sam manewr, licząc na to, że szyldwach zatrzyma się na najdalszym punkcie swego posterunku. Tymczasem nowy szyldwach był mądrzejszy od dawnego: spostrzegłszy, że kręci się jakiś młodzieniec, miał go widocznie na oku. Okrążył róg szpitala i w chwili, gdy się zbliżał do okna, nawrócił. W tej właśnie chwili padła z okienka kartka u nóg moich. Ja rzuciłem się do kartki, żołnierz z bagnetem do mnie. Uchwyciłem kartkę i w jednej chwili do ust włożyłem. Szyldwach nie zdołał przeszkodzić, ale zaalarmował straż. Umknąć nie było sposobu i nie było gdzie. „Karaułka“ (wartownia) była w pobliżu. Nadeszło dwóch żołnierzy i pod bagnetami zaprowadzono mnie do pokoju, jak mi się zdawało, dyżurnego oficera.

Przez brudny, długi, ciemny korytarz przyprowadzono mnie do równie brudnego i ciemnego, ale obszernego pokoju, do którego prawie równocześnie ze mną weszło kilka osób. Między nimi był oficer dyżurny. Nie trudno się było domyślić, gdyż jemu podoficer, który mi asystował, złożył raport. Równocześnie zwróciłem uwagę na mężczyznę słusznego wzrostu, dobrze po trzydziestce, jak mi się zdawało, bruneta, o twarzy okrągłej, ubranego w biały kitel wojskowy. Miał jakieś srebrne naszyca, ale co by one oznaczały, nie wiedziałem. Był to lekarz wojskowy Sągajło, jeden z tych, którzy za obicie Brinkena w teatrze

skazani byli do wojska. Nie wiem, jakie były jego losy i w jaki sposób został lekarzem szpitalnym. Nazwisko swoje sam mi powiedział. W rozmowie z oficerem starał się zbagatelizować mój wypadek, poddając mu niejako myśl, że nie miałem żadnych zamiarów, a tylko przechodziłem drogą okólną przez szpital. Było to trochę naciągane. Sągajło mówił głośno:

— Puść pan tego smarkacza!

Oficer widocznie lękał się i zdecydował się odesłać mnie do komendantury. Napisał raport, wręczył go frajterowi (gefrajterowi=kapralowi) i w asystencji trzech żołnierzy odesłał do Cytadeli, gdzie znajdowało się biuro komendanta.

III.

W Baszcie Prozorowskiego.

1. NA GŁÓWNYM ODWACHU.

Byłem młodzieniaszkiem, w którym zaczęła się dopiero budzić samowiedza narodowa i chęć do nauki, kiedy w czerwcu r. 1863, na dokończenie edukacji, poszedłem piechotą do fortecy kijowskiej.

Zanim się do niej dostałem, nie była mi obcą. Ciekawość młodzieńcza pędziła mię bardzo często w tę stronę. Szczególny urok miała dla mnie Ławra Peczerska, olbrzymi klasztor, tworzący sam w sobie pewną całość ekonomiczną, zdolną do wyżywienia nietylko licznych „inoków“ (mnichów) swoich, lecz stokroć liczniejszych rzesz ludowych, napływających co wiosna i jesień do cerkwi Bogarodzicy i słynących cudami świętych, pogrzebanych w pieczarach.

Posiadała tedy Ławra obszerne hotele, browar, miodosytnię, piekarnię na wielką skalę, szpitale, przytulki dla wędrowców — słowem, miasto całe, otoczone murem, którego część sięgała czasów wielkoksiążęcej epoki, a inna czasów mazepińskich, kiedy Piotr Wielki wraz z Mazepą zakładali podwaliny pod fortecę w Kijowie.

Mikołaj I, który pragnął zbudować i zbudował rzeczywiście w Kijowie wielką, według ówczesnych pojęć strategicznych, fortecę, włączył Ławrę Peczerską, tak zwaną od tego, że w XI w. wykuto w górach nad Dnieprem pieczary, czyli cele dla pustelników, do cytadeli nowozbudowanej twierdzy.

Nadzwyczajne moje umiłowanie zarówno całej Ławry, jak i szeregu monasterów, położonych wzdłuż Dniepru, Wydubyckiego i Kitajewskiego, ciągnęło mię często w te strony, bardzo często. Powoli, z łatwością właściwą młodemu wiekowi, porobiłem znajomości wśród mnichów, którzy mię zapraszali na swoje obiady i zapoznawali z najdrobniejszymi szczegółami życia w Ławrze, z jej osobliwościami, gmachami, pieczarami, świętymi nawet. Znałem pieczary kijowskie tak dokładnie, że jeszcze dziś mógłbym powiedzieć, gdzie spoczywali nie tylko święci Antoni i Teodozy, ale i owi bracia budownicy cerkwi, św. Iwan, Nestor latopisiec itd. Dzięki tej przyjaźni mojej z Ławrą, którą dochowałem do dzisiaj, mogłem dokładnie poznać całą fortecę, poznać wszystkie „kopaniry“, bramy, odwachy, reduty, baszty itd.

W roku 1898 poszedłem odwiedzić oddawna znajome miejsca. Jakże się wszystko zmieniło, jak bardzo zmieniło! Bramy, wiodące do cytadeli: Kijowska, Wasylkowska, Czernihowska i jeszcze jedna, której nazwisko wymknęło się z pamięci mojej, już wszystkie zburzone. Przez tę właśnie ostatnią przechodzi tramwaj. Odwach kijowski i tak zwany Główny odwach nie istnieją już; dom komendanta, starego Muśnickiego, legł w gruzach. Na wielkim placu cytadeli, od głównego odwachu do

Ławry prawie i arsenału, założono park spacerowy, jeszcze tylko na płaszczyźnie niewielkiej między wzgórzami, przed cytadelą, idąc drogą od mostu wiszącego do fortecy, sterczał samotny parterowy budynek — więzienie dla żołnierzy, niegdyś więzienie Konańszczyków.

Pięknego tedy czerwcowego wieczora znalazłem się w asystencji czterech żołnierzy z karabinami na ramieniu na placu cytadeli. Nie miałem pojęcia, gdzie mnie prowadzą. Szedłem z tą swobodą i beztrąską, jaką tylko wiek młody odznaczać się może. Było to coś — niby rezygnacja i spokój człowieka nieświadomego niebezpieczeństwa. Ogarniał mię nastrój jakiś, powiedziałbym, dziwny: nie odczuwałem tak dalece zmiany mego położenia, że dziś, po pięćdziesięciu latach, odczuwam z całą jasnością i świeżością wrażenie cichego, pięknego wieczora, jakie mię wówczas ogarniało. Na tym wielkim placu, ujętym jak w czworobok w cztery gmachy: więzienie, zwane Nr. 14, biura komendanta (komendantura), dom długi parterowy komendanta i główny odwach, panowała cisza, która kładła się złotemi blaskami słońca na pojedynczo stojące budynki. Byłem pod wpływem wrażeń raczej estetycznych, niż moralnych.

Idąc od strony wrót Kijowskich tak, że arsenał miałem z prawej strony, a Ławrę z lewej, z wąskiej stosunkowo ulicy wkroczyłem na ów wielki plac. Wprost prawie przede mną, niemal pośrodku tego placu, stała odosobniona, niewielka, murowana cerkiew bez żadnego ogrodzenia, trochę opuszczona, o ścianach osypujących się z tynku. W jednej stronie tylko, od wielkiego ołtarza, od szarej odrapanej ściany odbijało się trochę zieleni jakichś karłowatych krzaków. Była to słynna niegdyś cerkiew Spasa, zbudowana jeszcze przez Włodzimierza, zwanego Świętym, który religję chrześcijańską według obrządku wschodniego wprowadził na Rusi. Owa cerkiewka, dziś odnowiona i uporządkowana, była jedynem pozosta-

łem świadectwem tej miejscowości, która z historią pierwotną Rusi była blisko związana.

W XI wieku cała ta miejscowość, objęta dzisiaj fortecą, była puszczą, porośłą lasami, gdzie książęta kijowscy polowali na grubego zwierza. Miejscowość, gdzie stoi Ławra i cały plac cytadeli, nazywała się Berestowo, gdyż rosły olbrzymie brzozy, jeszcze teraz tu i ówdzie w ogrodach Ławry spotykane. Waregowie mieli tu swoje kryjówki zbójckie, właśnie w okolicy najprawdopodobniej mogiły Askolda, gdyż w tem mianowicie miejscu rozegrał się dramat dziejowy — zamordowanie Askolda i Dira, co spowodowało usadowienie się w Kijowie dynastji Rurykowiczów. Tradycja rozbójnictwa wareskiego dochowała się długo. Jeszcze w połowie XVII wieku Atanazy Kalnofojski pisał: „Berestowo jest góra ...na tej (górze) mieli legowisko swoje Waregowie, dniewrowi rozbójnicy, którzy żeglujących o zdrowie zaraz i o majątności utratę przyprowowali. Ci łupy swoje sobie wiadomemi ścieżkami w jaskini tej, którą na górze wykopali, i samych siebie chowali“. Jedną z takich jaskiń obrał sobie na mieszkanie św. Hilarjon, którego uważają za założyciela późniejszej Ławry. Istnieje grupa pieczar, która dotychczas nosi nazwę wareskich. Wspomniałem o tem mimochodem, ażeby historję tego zakątka przypomnieć.

Z tą rozbójniczą tradycją wareską łączy się inna, późniejsza nieco, ale pokrewna Warego-Normanom. W Kijowie panował Włodzimierz, nazwany Świętym nie z powodu życia ascetycznego bynajmniej, ale dlatego, że religję chrześcijańską na Rusi zaszczerpił. Otóż miał on w pobliżu Kijowa swoje teremy, mieszkanie książęce, gdzie krótki czas przebywał dla myślistwa i zabawy, a w tych teremach nałożnice trzymał. W Berestowie miał tylko dwieście. Po przyjęciu chrztu świętego rozstał się pono z nimi. A koło teremu wybudował niewielką cerkiew, zwaną najprzód śś. Apostołów, a później Spasa (Zbawiciela). Na Berestowie święty Włodzimierz hulał, bo, jak sam powia-

dał: „Wiesielije na Rusi piti“, tu się bawił z nałożnicami, tu się modlił i tu życie zakończył. Widocznie było to ulubione jego miejsce pobytu.

W takim to zakątku nad Dnieprem powstała Ławra, a później cytadela fortecy kijowskiej, która Ławrę w obrębie swoim zamknęła.

Stanąwszy na początku tego placu, od strony Ławry, miałem go w całości ze wszystkimi zabudowaniami przed sobą. Za cerkiewką Spasa, stojącą prawie pośrodku placu, ciągnął się długi, rozkraczysty, parterowy budynek, na bladozłocisty kolor malowany. Przed nim wysunięta platforma, na której szeregiem ustawione były karabiny (w koźły), a na uboczu nieco na jakimś podwyższeniu bęben. Wzdłuż platformy przechadzał się żołnierz z karabinem na ramieniu. Przed budynkiem rosły szeregiem topole piramidalne. Był to właśnie t. zw. Główny odwach. Jednym ramieniem dotykał on drogi, wiodącej do wrót Czernihowskich, dzielącej komendanturę od odwachu, a drugim, prawem — prochowni i dalej nieco domu komendanta.

* * *

Gefrajter, który prowadził mnie w asystencji żołnierzy, skierował kroki swoje do biura komendanta. Był to duży budynek piętrowy, jak i wszystkie budynki, bladozłocistomalowany, niechlujny, brudny, z licznymi a bezkształtnymi przybudówkami. Wprowadzono mnie do jakiejś izby, gdzie kilkunastu pisarzy przy stołach, rozmaicie rozmieszczonych, siedziało. Jeden z nich wziął od gefrajtra „buzmagę“, przeczytał, spojrzał na mnie pogardliwie i syknął ironicznie:

— Charosz! (Tyle mniej więcej, co: „ładne ziółko“).

Po chwili wetknął mu do rąk inny jakiś papier i rzekł krótko:

— Na odwach! Do dyżurnego!

Skierowaliśmy się do Głównego odwachu. Już słońce zachodziło, gdyśmy się znaleźli przed obliczem dyżurnego. Przebiegł oczyma bumagę i wrzasnął na cały głos przed siebie:

— Zawołać Akimowa!

Za chwilę stanął przed nim wyciągnięty jak struna podoficer.

— W obszczuju! Postawit' czasowowo! (Do ogólnej izby! Postawić wartę!).

Po tych słowach podoficer skinął na moją asystę i po chwili znalazłem się na drugiej stronie wąskiego korytarza, który dzielił budynek odwachu na dwie części i prowadził włąb zabudowań i na dziedziniec. Z jednej strony tego korytarzyka, na prawo od wejścia, wiodły drzwi do służbowego pokoju dyżurnego oficera, z drugiej — do „karaułki“ (prawdziwie słowiański wyraz!), gdzie się mieściła warta z kilkudziesięciu żołnierzy złożona.

Weszliśmy do środka. Była to izba długości 6—7 metrów, a połowę tyle szerokości i miała tylko jedno zakratowane okienko, wychodzące na platformę. Dokoła ścian ławki drewniane — nic więcej. Zważywszy, że było to już po zachodzie słońca, w karaułce było prawie ciemno, szczególnie gdym wszedł od światła. Z prawej strony od wejścia były niewielkie drzwi brudno-brązowej barwy, zaopatrzone w górze na wysokość wzroku człowieka w niewielką drucianą siatkę. Przed drzwiami temi zatrzymaliśmy się. Klucznika od tego przybytku nie było; posłano po niego.

Wszedłszy do karaułki, dostałem jakby obuchem w łeb. Brak powietrza i smród panowały tu niewypowiedziane, gdyż kilkudziesięciu żołnierzy mieściło się na tej małej przestrzeni. Jedni siedzieli na ławie i palili fajki, inni, zwinęci w szynele, spali na podłodze, inni zaś rozmawiali głośno. Krzyk, wrzawa, smród nie do zniesienia. Zapach bakunu mieszał się z zapachem barszczu, potu ludzkiego i — nietylko potu.

W oczekiwaniu klucznika, odezwałem się do podoficera:

— Okropnie czuć!

Prostu mdłości uderzały na mnie.

Akimow skinął głową obojętnie i rzekł sentencjonalnie z akcentem wielkorosyjskim:

— Chlebnyj duch... s niewo nie ugarisz... (zapach chlebowy... z tego nie oczadziejiesz).

Zamilczałem. Zjawił się klucznik i otworzył moją „kamerę” (cełę). Była ona co do długości i szerokości nieco mniejsza od karauki (czytelnik mi wybaczy, że tym tatarskim wyrazem będę się posługiwał zawsze) i u góry, pod sufitem, miała dwa niewielkie, mało co większe nad pół metra w kwadrat, gęsto zakratowane okienka. Z prawej strony od drzwi wchodowych pod ścianą stał tapczan, czyli nary (o, ideo wszechsłowiańska!), przy nich małe stolik, ledwie ociosany z drzewa i nic więcej — literalnie nic. Proszę dodać do tego podłogę zapluta i pokryta zaschłym błotem niewiadomo na jaką grubość, smród przy braku powietrza niewypowiedziany, a ściany wilgotne, poczerniały od wilgoci i brudu, poprostu wstrętem odpychające. Na poczerniałym tle ścian tej osobliwej kamery widać było albo długie spisy nazwisk z dodatkiem: „jutro idziemy na Sybir“, albo: „pojutrze wychodzimy na Angarę“ — i znowu szereg nazwisk. Tu i ówdzie jakieś samotne nazwisko, wyryte paznokciem, jakaś sentencja, jakieś pożegnanie, niewiadomo z kim, niewiadomo przez kogo na wilgotnej ścianie zapisane. Nie trudno się domyślić, ile smutku i rozpacz przepląnąć musiało przez te dusze młode i znękanę, które tu ostatnią noc przed podróżą spędziły. Pamiętam, że spotykałem nieraz znajome nazwiska; ale pół wieku zatarło je z pamięci.

Otóż wpakowano mię do tej celi dlatego, że wszystkie inne były zajęte, a na Głównym odwachu dlatego, jak sądzę, dano mi mieszkanie, że przesłuchiowano mię o kilkaset kroków od odwachu, w tak zwanym po rosyjsku

„ordonanchauzie“. Może chodziło o to, ażeby uniknąć dalekich i niepotrzebnych przechadzek. Zresztą — nie o to chodzi.

Wracam do mojej kamery.

Wepchnięto mię do tego worka zmęczonego, zziąbanego, zgłodniałego. Pokręciwszy się trochę i rozejrzawszy się nieco, usiadłem na narach. Spojrzałem na drzwi i wzrok mój spotkał się z dwojgiem błyszczących oczu, patrzących ku mnie przez drucianą siatkę.

Zbliżyłem się do tego otworu i zażądałem wody.

W karaulce zrobił się jakiś ruch, ale wody nie było.

Zagadałem znowu coś do mego najbliższego opiekuna, ale otrzymałem odpowiedź bardzo krótką i zwięzłą:

— Nie wolno rozmawiać.

Na wszelkie tedy próby rozmawiania z tamtej strony była jedna tylko odpowiedź: milczenie. Mój sztyldwach przy drzwiach rozumiał tylko: „zawołać dyżurnego“, „wody“ i „z potrzebą („do wietru“). Szczególnie ten ostatni wyraz ogromnie jest charakterystyczny i poetyczny.

Otóż, po długim oczekiwaniu dostałem nareszcie wody, którą spragniony wypilem. O jedzeniu mowy nie było. Nikt mi nic podobnego nie proponował, a mnie żądanie pokarmu jeszcze na myśl nie przyszło. Wrażenie, że jestem zamknięty, że nie wiem, co jutro ze mną będzie, tak mnie zaprzętało, że o pożywieniu ani myślałem. W celi mojej było coraz ciemniej. Okienka w górze ledwo odrobinę światła przepuszczały. Tyle również przedostawało się przez siatkę z karaulki. Stojącemu przy drzwiach sztyldwachowi wystarczało na to, ażeby mię obserwować. Dowiedziałem się później, że i mnie codziennie należała się jedna „łojówka“, ale pomocnik komendanta generał-major Lewkowicz był oszczędny. Dodać muszę, że dziwnym zbiegiem wypadków obaj komendanci byli Polacy. Muśnicki należał niegdyś do składu oficerów korpusu litewskiego i był jednym z tych nielicznych, którzy walczyli ze współbraćmi. Zdobył w ten sposób zaufanie rządu,

stopnie, odpowiednie odwadze, i wkońcu został kometanta fortocy w Kijowie. Lewkowicz należał do drobnej szlachty kijowskiej.

Wracam do mojej celi. Napiwszy się wody, zmęczony długim chodzeniem i wrażeniami, padłem na nary w ubraniu i zasnąłem. Spałem bardzo mocno, bo nie wiem, co się ze mną działo aż do rana. Rano hałas żołdacki mię obudził. Wyszędłem „do wietru“ w asystencji, jak przystało, dwóch żołnierzy: jednego z przodu, drugiego z tyłu, z karabinem, trzymanym w rękę wolno, równolegle do ziemi. Szędłem powoli, rozglądając się. Było to zapoznanie się z temi warunkami i otoczeniem, w jakich się znalazłem. Znajomą drogą z karaułki wyszędłem na korytarzyk; stamtąd skręciłem na lewo, potem znowu na lewo. Z tego drugiego korytarzyka widać było dziedziniec. Wlokąc noga za nogą z rozmysłu, rozglądałem się. Z lewej strony owego korytarzyka była ściana murowana, z prawej celkowe więzienia. Zajrzałem przez druciane okienko: był to korytarz długości pokoju dyżurnego oficera, mający troje drzwi, do trzech cel wiodące, a środkiem korytarza przechadzał się w błękitnym uniformie żandarm przy paszu i rewolwerze.

Nie trudno się było domyślać, że siedzą tam jacyś, nie byle jacy więźniowie. Klucz od celek więziennych znajdował się u dyżurnego żandarma, a od korytarza, w którym żandarm był zamknięty, u klucznika. Jeżeli więc więzień potrzebował wyjść „do wietru“, komunikował tę wiadomość żandarmowi, żandarm wołał klucznika, klucznik raportował oficerowi, który wołał podoficera i kazał mu wysłać tam a tam dwóch żołnierzy z karabinami. Kiedy już żołnierze stanęli przed drzwiami, prowadzącymi do korytarza, gdzie był zamknięty żandarm, otwierano cele i wypuszczano biedaka dla załatwienia najgrubszej potrzeby. „Cieńsze“ załatwiały się w celi.

Dziedziniec, na którym stał ustęp, wielki, drewniany, cuchnący o sto kroków budynek, był otoczony z dwóch

stron drewnianym parkanem, z prawej — głuchym, z lewej — posiadającym bramę wjazdową. Równolegle z korpusem odwachu, tylną ścianę, zamykającą dziedziniec, tworzył wał cytadeli, a po nim przechadzał się szyldwach, który obserwował dziedziniec i całą tylną część odwachu. Niezależnie od tego, pod oknem mojej celi i tych cel, które specjalnie przez żandarma były strzeżone, także co dwie godziny zmieniał się szyldwach. Tak byliśmy strzeżeni, że już trudniej chyba lepiej. Po kilku takich wycieczkach znałem doskonale topografię miejscowości i nawet niektóre tajemnice urzędowe.

Nazajutrz już przed południem, kiedy nerwy zaczęły trochę wracać do stanu normalnego, uczułem głód. Zwróciłem się oczywiście do mego najbliższego opiekuna. Szyldwach zameldował podoficerowi, podoficer zapytał: czego? — i znikł. Po chwili wrócił i oświadczył obojętnie:

— Niema jeszcze decyzji z komendantury.

Trudno. Czekam na ową decyzję.

W południe zmieniła się warta. Pod wieczór znowu wołam jeść. Czuję, że już mi woda nie wystarcza. A tu jeszcze głodna wyobraźnia majaczyć zaczyna: a nuż chcą mnie tu głodem zamorzyć? Wcale nie wesoła perspektywa. Na moje natarczywe żądania zjawia się sam we własnej osobie oficer wartowni i przez kratkę drucianą pyta:

— Czego potrzeba?

— Jeść nie dają... Litości!... Drugi dzień nic nie jem.

— Niech pan będzie spokojny... przyniosą... niema jeszcze rozporządzenia.

I zniknął za kratą.

— Żle! — myślę sobie. Czekam, czekam, kiedy przyniosą, wkońcu napiłem się wody i zasnąłem.

W nocy budzi mnie jakiś chrzęst, hałas. Otwierają moją celkę, która przez chwilę oświetla się brudno-czerwonym światłem, i widzę, jak wpycha się do kaźni dwóch żołnierzy. Po szarych szynelach nie trudno ich było poznać. Każdy z nich miał jakiś tobolek pod pachą. Nary

jedne tylko były i siennik jeden, na którym ja leżałem. Soldaciska poszli w ką, na przeciwną stronę celi. Czas jakiś mruźli do siebie, a potem — cisza.

Nazajutrz rano znajomość.

Z jakiego powodu znaleźli się razem ze mną? z pewnością ani ja, ani oni nie wiedzieli. Może to było rzeczą przypadku, a może zwykłym manewrem w celu wybadania mnie. Dość, że znalazłem się w towarzystwie, najmniej się tego spodziewając. Jeden z nich był Rusinem, o ile z wymowy domyślić się mogłem. Szczupły, blade, ale rośły chłop. Za co go schowano do mojej celi — nie pamiętam. Drugi, niewielkiego wzrostu, krępy, czarny chłopisko, jak cygan. Pochodził z Sybiru, z narodowości był Tunguzem. Ten był aresztowany za ucieczkę z wojska. Przyłapany, poszedł do kozy. Już wówczas mnie zaciekawiał, a teraz o wiele więcej. Nazwisko jego po tylu latach z pamięci mi wyszło, ale postać stoi jak żywa przed memi oczyma. Po rosyjsku nie umiał, zaledwie potrafił skleić frazes, którego znaczenia raczej domyślać się należało, niż można było rozumieć. Urodzony w jurcie wołłokiem krytej, wychowany w lesie razem z reniferami, tęsknił za tym ubogim domem, za swoją szarą przyrodą, za swoim jasnym śniegiem. Tu za wiele było dla niego słońca; ściśnięty w kluby żołnierskiego życia, nie wytrzymał, uciekł z koszar z zamiarem dostania się do swojej jurty i renów. Gnały go tęsknota i smutek. Wiedział, czego chce, ale nie miał pojęcia, jak to pragnienie skutecznie. Nie umiał sobie zdać sprawy z tego, jakie olbrzymie przestrzenie dzielą stepy ukraińskie od tundr sybirskich. Uciekł — i w pierwszej wsi za Dnieprem złapano go. Nie wiedział, jak się rozmówić z ludźmi, a szynel soldacki zdradził go. I znalazł się w „kamerze“ razem ze mną.

Trzeciego dnia po mojem aresztowaniu rano poznaaliśmy się. Zrazu nieufnie: towarzysze moi czuli, że nie jestem przecie żołnierzem, a może i domyślali się, kto jestem. Wszystkie więzienia były przepelnione Polakami.

Dopiero w parę dni po poznaniu się poczęli opowiadać swoje losy.

Zbliżenie się nastąpiło jednak na gruncie najmniej spodziewanym.

Nazajutrz po ich przybyciu, rano, upomniałem się znowu o jadło i znowu otrzymałem stereotypową odpowiedź:

— Niema rozporządzenia z komendantury.

A był to już trzeci dzień mego przymusowego głodowania. Czułem, że już o wodzie dłużej nie wytrzymam.

Przed południem przynieśli moim żołdatom „szczy“ i kaszę. Usiedli na brudnej podłodze kaźni i ze wspólnej lakierowanej w kwiaty misy kapuśniak z chlebem zjadali. Na kaszę spoglądali z niedowierzeniem. Ja leżałem na tapczanie i z zazdrością o tym ich obiedzie myślałem. Gdyby nie miłość własna, byłbym może prosił o pozwolenie wzięcia udziału w tej uczcie. Do uszu moich dolały miarowe przeżuwanie chleba. Zerwałem się nerwowym, niespokojnym ruchem z pryczy, podbiegłem do okienka i krzyknąłem niecierpliwym głosem:

— Zawołać dyżurnego oficera...

Według regulaminu więziennego, dyżurny oficer obowiązany był stawić się na każde zawołanie więźnia.

Stanął przed kratką. Zacząłem głośno wymyślać na nieporządku, że oto trzeci już dzień jeść mi nie przynoszą, że przecie z głodu umrzeć nie mogę.

Ale oficer uspokajał mnie tonem obojętnym:

— Bądź pan spokojny! przyniosą...

Obrócił się na pięcie i poszedł. Wróciłem wściekły do swojej pryczy i położyłem się. Moje żołnierzyki wychleptali zupę do kropli. Kasza została.

Słyszeli moją rozmowę z oficerem. Rusin, odważniejszy i pewniejszy swojej znajomości języka rosyjskiego, odezwał się pierwszy:

— Nu, brat, kuszaj kaszicu, a to z głodu pomriosz... (No, bracie, jedz kaszę, bo inaczej umrzesz z głodu).

Podniósł z ziemi miskę z kaszą i na moim stoliku postawił.

Podziękowałem słodko i zacząłem zmiatać. Była to jęczmienna kasza, tu i ówdzie zielonym paskiem przeciągnięta, na świadectwo, że gotowała się w miedzianym kotle. Drewnianą łyżką, półkulistej formy, jak nasze stare łyżki z XVI w., odsuwałem na bok zielone smugi i jadłem kaszę. Czy mi smakowała? Wątpię i nie pamiętam; wiem tylko, że sporo jej w misie pozostało.

Wieczorem, musiała już być godzina ósma, wyszedłem z potrzebą. Wracając, widzę drzwi od mojej kaźni otwarte, a przed progiem stoi kilku oficerów, którzy przemawiają z wielkim respektem, ciągle salutując, z jakąś niewielką figurą w szarym wojskowym płaszczu. Był to generał Lewkowicz, zastępca komendanta, szef biura, w asystencji placadjutanta i dyżurnego oficera. Widocznie oczekiwał mego przyjsścia, znać ciekawy spojrzeć w oczy „powstańcowi“.

Wpadłem odrazu na niego—bez żadnych tytułów, na których się nie znałem wcale.

— Trzeci dzień siedzę — zacząłem głośno — jeść mi nie dają...

Lewkowicz milcząco oczy zatrzymał na dyżurnym oficerze.

— Komendantura zawiadomiona... rozporządzenia nie ma jeszcze, skąd ma być jedzenie...

Generał głową ku mnie skinął:

— Zaraz przyniosą.

Obrócił się i z całą asystencją wyszedł.

Nie minęło więcej nad pół godziny, kiedy już w naszej kamerze ciemność panowała zupełna, zachrzęszczały klucze przy drzwiach, ruch się jakiś zrobił, światło mignęło, a gdy się drzwi otworzyły, spostrzegłem na progu dyżurnego oficera w asystencji klucznika, podoficera i „dien-szczyka“ od komendanta, który niósł coś w serwetę owiniętego. Podoficer postawił na stole łożówkę, w kawał

zasuszonej gliny wetkniętą, a dieńszyk postawił obok niej to, co miał w ręku.

— Wieczera dla pana od komendanta... — odezwał oficer.

I wszyscy w jednej chwili znikli.

Owa wieczera „od komendanta“ zrobiła ogromne wrażenie i odrazu postawiła mię na niedościgłej wysokości.

Trzeci dzień szczęśliwie upływał od chwili, kiedy jedzenie w ustach miałem. Nic też dziwnego, że, jak tylko znikli moi stróże, zabrałem się do rozwiązywania serwety, w którą, jak się nie trudno było domyślić, piętrzyły się jeden na drugim talerze. Do dnia dzisiejszego nie mogę odgadnąć, jaki mógł być powód tej osobliwej łaskawości komendanta. Czy może chciał w ten sposób poprawić nieład, panujący w jego biurach, który na głód więźnia skazywał? Czy uzalił się może młodości mojej, poniewierającej się w tej cuchnącej kaźni, w nieodzownym otoczeniu żołdackiego „ducha“ (woni)? Nie pamiętam, co tam było na tych talerzach; wiem tylko, żeż spalażował kawał jakiegoś mięsa z wilczym apetytem. A było tego jedzenia dużo, bo z tą wieczerzą od komendanta wiąże się pierwsze moje doświadczenie, połączone z przewidywaniem. Posiliwszy się należycie, resztę jedzenia złożyłem wraz z chlebem na talerzu i postawiłem wysoko na ramie okiennej, a właściwie na murze tuż przy kratkach żelaznych, ażeby w dusznej atmosferze więzienia dłużej zachowało świeżość. Nie byłem pewny, czy jutro spotka mię także łaska Lewkowicza.

Leżałem w ciemności na pryczy i zasnąć nie mogłem. Wsluchiwałem się w tę dziwną ciszę więzienną, w te szmery, które Bóg wie skąd dochodzą. Za oknem miarowy szelest kroków sztyldwacha, czasem niewyraźna rozmowa przy zmianie warty, równie niewyraźne odgłosy ze strony karaulki wchodzącej i wychodzącej warty — i cisza jakaś dziwna, ciężka. Blade światelko z wartowni pozwalało mi rozglądać się po sali. Rusin spał — wogóle

cały dzień prawie leżał, — Tunguz, w płaszcz zawinięty, skurczony tak, że widać było niekształtną bryłę ciała, niewyraźnie jednostajnym głosem coś mrucał: niby śpiewał, niby płakał, niby coś opowiadał. Najprzykrzejsze wrażenie sprawiało na mnie to mruczenie.

I tak noc minęła...

Nazajutrz rano trudno się dźwignąć. Mydła, miski, ręcznika niema, tylko dzban wody. Na dworze umywać się nie wolno, a zatem — w kamerze. Żołnierze mieli więcej doświadczenia ode mnie. Nabierali tedy pełne usta wody, potem, złożywszy obie ręce tak, że się tworzył pewnego rodzaju czerpaczek; wypuszczali do niego wodę, a potem tą wodą zmywali twarz. Rękaw od koszuli lub inną część bielizny spełniała rolę ręcznika. Po tej operacji każdy wyjmował chleb w szmatkę zawinięty i powoli przeżuując, spożywał. Sięgnąłem i ja do moich zapasów; ale jakież było moje zdziwienie i obrzydzenie, gdy ujrzałem talerz czarny prawie! Mięso, które sobie zostawiłem na pożywienie, obsiadły czarne, wielkie, tęgopokrywe owady, wielkości prawie chrabąszcza, które za dotknięciem podnosiły tylną część kałduna do góry i wydawały ze siebie ciecz cuchnącą. Tak się wpiły w te resztki mięsa, że pomimo poruszania talerzem nie opuszczały go. Inna gromada z takim samym apetytem jadła chleb, leżący na przymurku. Owady te, zwane w języku miejscowym „tarakany“, są właściwe tamtejszej strefie geograficznej. Im dalej na zachód ku Karpatom, tem mniej się ich spotyka.

Teraz zrozumiałem, dlaczego moi przypadkowi towarzysze więzienni chleb swój w szmatkę zawijali.

Odwiedziny Lewkowicza to miały następstwo, że zaczęło mi przynosić wikt tak zwany szpitalny, lepszy i obfitszy od zwykłego żołnierskiego.

Moi towarzysze, jak przyszli nagle, tak w krótkim bardzo czasie znikli. Nie wiem, czy dłużej nad dwa tygodnie z nimi siedziałem.

Zostałem tedy znowu sam. Życie w więzieniu, szczególnie samotne, tak się zwięża, tak się skupia na nieuchwytnych prawie drobiazgach, odznacza się taką posępną jednostajnością, że całe prawie zamyka się w obrębie nie faktów, lecz wrażeń i uczuć. Wychodzenie „do wiatru” nabiera wielkiego, pierwszorzędneho znaczenia.

Daje ono sposobność do rozmawiania, raczej do wypowiedzenia kilku dozwolonych frazesów, do oglądania kawałka nieba, do oddychania innem powietrzem. Zmysł obserwacyjny zaostrza się, słuch nabiera niezwyklej wrażliwości. Słyszcy się szmery i dźwięki, które zwykle nie są uchwytny. Każdą nową twarz przy okienku dostrzega się odrazu. Idąc do ustępu, zawsze rzucałem okiem na ten korytarz, gdzie siedział lub przechadzał się żandarm. Tajemnicza cisza, która tam panowała, owo pilnowanie tego ktosia, posunięte do granic ostateczności, wszystko to ogromnie mnie intrygowało. Przypominam sobie jednak, że ów więzień „sekretnyj” zamieszkał na głównym odwachu już po mnie: Takie mam przynajmniej wrażenie.

Kiedyś, idąc do wiatru (już w sierpniu), na samym progu drzwi, wiodących na dziedziniec, spotkałem się z nieznanym. Istniał wprawdzie surowy nakaz wyprowadzania więźniów jednocześnie, ale od czegoż przypadek? Spotkałem się z nim tedy, mimo ostrożności, a przejście było tak wąskie, że niepodobna było wyminać się. Rzuciłem na niego okiem: był to mężczyzna około czterdziestki, jak mi się zdawało, słuszny, dobrze zbudowany, z dość dużą brodą. Mijając się, szepnął mi:

— Druźbacki...

W owym czasie nic mi to nazwisko nie mówiło. Nieznajomy rzucił mi je mimochodem, bo wiedział, że wypadnie może powtórzyć je komu. Spotkałem się z nim jeszcze raz — później o tem słówko powiem.

Gdym się już nieco z swoją cuchnącą kaźnią oswoił, jedyną przyjemnością było siadywanie na oknie. Okno było wysoko. Ażeby się na nie dostać, trzeba było na

narach postawić stolik, a dopiero stanąwszy na stoliku, można się było za kraty żelazne uchwycić i przykucnąć nareszcie na oknie. A ponieważ przymurek był wąski, ażeby się utrzymać na oknie, trzeba się było rękami krat ucześcić.

Widok nie zasługiwał wcale na tyle pracy i wysiłku; za oknem widać było klozet, wał cytadeli, ogrodzenie dziedzińca i dwóch szyldwachów: jednego na wale, drugiego pod oknem. Na prawo nieco od dziedzińca, w stronie ku prochowni, było kilka chudych akacji, na których ćwierkając zawzięcie, wróble prowadziły wojnę. Nad tym ubogim widoczkiem wisiał kawał błękitnego nieba — i tyle.

Owo przesiadywanie na oknie nie obywało się bez przykrości. Szyldwach i oficer podejrzewali mię o to, że muszę kraty przepiłowywać, i z tego powodu byłem przedmiotem co wieczór rewizji osobistej. Kiedy moją celę przeszukiwano najszczelniej, podoficer wylazł na okno, targał kraty i badał, czy nie są przepiłowane. Wprawdzie zabraniano mi siadywać na oknie, ale upór mój był silniejszy od rozkazu.

Pewnego razu spostrzegłem, że przez drucianą siatkę w drzwiach mojej celi pilnie mnie śledzi jakichś dwoje czarnych, błyszczących oczu szyldwacha. Zapytałem go o coś. Otrzymałem stereotypową odpowiedź:

— Nie można.

Nie było na to rady.

W parę dni potem, w codziennej wędrowce na dwór, zobaczyłem te same oczy. Był to żołnierz smukły, ładny, brunet, o smągłej twarzy, o giętkich, elastycznych ruchach, rażąco odbijający korzystnie od swego otoczenia. Kiedyśmy już przyszli do punktu ostatecznego, a żołnierz, oparłszy karabin o ziemię, wsparł się na nim, spojrzenia nasze znowu się spotkały. Jakież było moje zdziwienie, gdy żołnierz, obejrawszy się dokoła, piękną polszczyzną odezwał się do mnie:

— A pan skąd?

— Z Kijowa — odpowiedziałem.

Zaczeła się ostrożna, półszepcem rozmowa.

Był to •Mazur z pod Warszawy, którego los ubrał w szynel żołdacki i na służbę do dalekiego Kijowa zapędził. Odezwiała się w nim krew szlachećna. Nazwiska jego nie pamiętam, może mi nawet nie powiedział, ale pamiętam postać całą i twarz wyrazistą, piękną.

Rezultatem naszej rozmowy było to, że Mazur skomunikował mię z rodziną i z pewnością pośrednio przyczynił się do tego, że nie podzieliłem losu moich młodych kolegów: Słomowskiego, Ochrymowicza, Zukaniego, Szaramowicza Władysława i in. Przypadek, który mię zetknął z tym nieznanym Mazurem, stał się punktem zwrotnym w mojem życiu. Na to, ażeby mnie dopomóc i ułatwić wykreślenie się od kary, ważył on własną przyszłość, własne życie — bezinteresownie. W tem właśnie leży owo ciche, prawdziwe ludzkie bohaterstwo.

Mazur był praktyczniejszy i doświadczeńszy ode mnie. Dostarczył mi kawałek papieru i ołówek. Jak mu kartkę wręczyć? Tu był sęk. Przy drzwiach nie można, bo inni spostrzegą. Jeden był tylko sposób: kiedy mię prowadził na dwór i szedł za mną z karabinem, podawałem mu kartkę, wyciągając rękę poza siebie, w korytarzu, gdzie spotkałem się z Drużbackim. Sam mi ten punkt wskazał. Istotnie nigdy tam nikogo nie można było spotkać, gdyż przejście zarezerwowano jedynie dla więźniów. W ten sposób brał ode mnie kartki, do domu odnosił i takąż samą drogą odpowiadał mi wręczał.

To był mój dobrodziej prawdziwy. Jeśli żyje — nie dojdą do niego moje słowa podziękowania, jeśli nie — nie potrzebne mu one. W każdym razie znalazł największą nagrodę we własnem sumieniu.

Przez dalszy czas mego pobytu na Głównym odwachu pożywienie otrzymywałem już regularnie, a co sobota miałem z domu świeżą bieliznę, cukier, herbatę i drobne

dotatki. Wszystko to przechodziło przez komendanturę. Pakiety rewidowali pisarze, a co było lepszego, kradli lub mieniali, szczególnie bieliznę i obuwie. Cukrem i herbata dzielili się tylko.

Jednostajność mego życia przerywało tylko chadzanie do indagacji, czyli na tak zwane „doprosy“. Odbywały się one z początku w „ordonanchauzie“. Dziwiło mię tylko, że ile razy byłem wezwany, zawsze na drodze spotykałem się z moją dobrą i pobłażliwą matką i siostrą, które opiekowały się mną z poświęceniem się znanem chyba tylko polskim matkom — tyle trzeba było znieść upokorzenia i smutków. Przekonałem się później, że miały wiadomości od jednego z oficerów audytorjatu. Oficerem tym był prawdziwy Rosjanin. Nie wiem, czy mi się tylko nie zdaje, ale mam takie wrażenie, że wśród Rosjan tamtego pokolenia było więcej szlachetności. Nie zdrada kierowała tu czynem, ale współczucie. Chęć zemsty i upokorzenia zwyciężonego jeszcze nie plugawiły patriotyzmu rosyjskiego.

Na Głównym odwachu zetknąłem się z bratem rodzonym Pustowójtówny. Zdaje się, że dowodził rotą w jakimś pułku, konsystującym w Kijowie, i stąd na rozmaite warty chadzał. Na tym odwachu kilkanaście razy wartę odprawował. Był to chłop słusznego wzrostu, z długą, szpakowatą brodą, o czarnej, dość bujnej czuprynie, siwiejącej na skroniach. Twarz surowa, nachmurzona. Należał do najbardziej wymagających oficerów. Tak zwaną „powierkę“ (sprawdzanie), czyli wizytę wieczorną po ćapstrzyku, sam zawsze w asystencji podoficera odbywał. Celę rewidował gruntownie, kraty kazał pociągać, aby się przekonać, czy nie są podpiłowane. Zdarzało się nieraz, że gdy wchodził do sali, ja klęczałem przy pryczy i odmawiałem pacierz wieczorny. Podejrzliwość Pustowójtowa posuwała się do tego stopnia, że zrewidowawszy celę, czekał, aż pacierz ukończę, ażeby pryczę zrewidować. Twarde spełniał rzemiosło, ani słowa.

Największą przykrością była przymusowa bezczynność. To ciągle kręcenie się myśli koło wąziutkiego tematu codziennego życia, jednostajność tego życia, dzikie, niechlujne, brudne otoczenie. — wszystko to było w stanie pogniebić najsilniejszy umysł, złamać najsilniejsze zdrowie. Żyło się ciągle między apatią a podnieceniem, wywołanem niepewnym jutrem. Głowa pełna była fantastycznych obrazów przyszłości: raz widziało się siebie pod szubienicą, drugi raz wędrującego wraz z tymi, których imiona wyryte zostały gwoździem na poczerniałej od brudu i wilgoci ścianie, do tajg sybirskich. Słowem, w tej posępnej celi miotła się duszy moja—czyż tylko moja?—między nadzieją a rozpaczą. Tylko silna i zdrowa młodość mogła opierać się działaniu tej rdzy powolnie rozgryzającej i jęczącej. Trzeba było w sztucznym natężeniu utrzymywać mięśnie, głos, nerwy, myśl samą. Śpiewałem wszystko, co tylko pamięć moja zatrzymała, zrywałem się z pryczy, jak wilk kręciłem się po celi koło mokrych ścian, wdrapywałem się na okno i usta otwierałem, jak ptak w czasie upału, ażeby trochę innego powietrza zaczerpnąć. Było to nieświadome szamotanie się upadającego ducha i również nieświadoma samoobrona.

Przedewszystkiem odczuwało się brak odświeżania umysłu, odżywiania go inną strawą, niż owa codzienna—własnych myśli. Dwa dzieła pamiętam, które umiałem na pamięć: pisma Gromadzkiego, duży tom zbiorowych prac różnych młodych, jak się zdaje, kijowskich pisarzy, i „Życiorysy znakomitych mężów“ K. Wójcickiego (nie wiem, czy dobrze tytuł cytuję). Nie biorę w rachubę przypadkowej lektury, po której nic nie pozostało mi w pamięci, ani w myśli.

Jesień przyniosła mi nowe smutne wrażenia. Przez wrota Czernihowskie i między komendanturą a boczną ścianą odwachu wiodła krzyżowa droga tych, którzy szli na śmierć. Zwykle dowiadywałem się o tem od żołnierzy od warty. Wiedzieli dokładnie godzinę egzekucji i na-

zwiska skazańców. Rozstrzeliwanie odbywało się zwykle nad ranem przy licznej asystencji wojska i jeneralicji. Około godziny trzeciej, kiedy zaledwie szarzyć poczynąło, rozpoczynał się ruch wojska ku miejscu skazania. Z mego okna widać było ukośnie z jednej strony szczyt bramy Czernihowskiej, z drugiej kawałek rogu komendantury i kawałek drogi, wiodącej ku tej bramie. Siedząc ucze- piony do kraty okiennej, mogłem przez jedną chwilę wi- dzieć, co się dzieje na drodze, którą prowadzono ska- zańców.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy, nad ranem obudził mnie jakiś hałas. Rzecz bardzo niezwykła. Były to echa miarowych kroków maszerujących żołnierzy. Podążali ku bramie Czernihowskiej, widocznie w celu tworzenia asy- stencji przy ceremonji pozbawiania życia. Tym razem mieli głowy swoje położyć Władysław Padlewski i Piato Krzyżanowski, obaj dowódcy oddziałów z powiatu Ber- dyczowskiego, obaj już ludzie starzy.

Nie będę opisywać tego smutnego zdarzenia, jak naza- jutrz słyszałem z ust żołnierzy ze wszystkimi szczegóła- mi, a później z ust księdza, który wszystkich na śmierć skazanych na wieczną drogę odprowadzał. Opisuję to tylko, co widziałem, co przeżyłem i co odczułem.

Myślę, że ruch wojska zaczął się już około drugiej po północy. Z okna mego naprost był wał forteczny, a widać było tylko boczną ścianę tego wału i szczytową płaszczyznę, po której przechadzał się szylldwach. Za wałem — o czem dowiedziałem się w kilkanaście lat później — była sze- roka fosa, otaczająca całą cytadelę. W szarzyźnie nocy słyszałem szmer kroków i widziałem falę ludzką, po- suwającą się ku wrotom Czernihowskim i niknącą w ich paszczy. Równocześnie, gdy kolumny wojska niknęły w bra- mie, wszczął się jakiś ruch i wrzawa za wałem. Widocz- nie wojsko zajmowało tam wskazane sobie miejsce. Od czasu do czasu przemykały się drogą jakieś powozy, do-

rożki, kozacy konni i wszystko to znikąło przed wzrokiem moim w paszczy bramy.

Nareszcie ukazał się orszak. Sekundę, dwie najwyżej patrzyłem, ale obraz w duszy mojej i oku pozostał na zawsze. Dwóch starych ludzi było pośrodku: jeden w asystencji popa, drugi — księdza. Platonowi Krzyżanowskiemu, jako prawosławnemu, towarzyszył pop. Daremne jest wmawianie w siebie i innych, że o narodowości stanowią religja. Wszyscy czterej otoczeni byli dokoła gęstym kordonem żołnierzy. Za żołnierzami drugi kordon: był to konwój kozacki, asystujący pochodowi. Dniało już, kiedy ten pochód z przed oczu moich zniknął w paszczy bramy. Co się tam działo za bramą? nie wiem. Skierowałem wzrok na wał, na którego szczycie stało kilkunastu żołnierzy ze straży więziennej i ze służby. Oczywiście coś się musiało dziać przed ich oczyma, kiedy patrzyli. Cisza była nadzwyczajna. Zdawało mi się, że wśród tej ciszy dolatują ku mnie jakieś oderwane, zbląkane dźwięki ludzkie.

Po chwili powietrze zadrżało głuchem echem bębnow. Uderzenia były miarowe, równe, jednostajne, następujące po sobie z jakąś gorączkową szybkością. Nagle, jakby na rozkaz jakiś, terkotanie bębnow urwało się. Ostatnie odgłosy, odbiwszy się od wału, wraz ze słabnącem echem w dalekiej przestrzeni ku Dnieprowi znikły. Chwilka ciszy jakiejś posępnej i głuchej. Postacie stojące na wale wydawały się jakby szeregi menhirów bretońskich, patrzących nieruchomo na wieki życia, koło nich płynącego. Naraz kilkanaście strzałów — raz, drugi raz — i znowu cisza. Potem dwa strzały pojedyncze, oderwane — i znowu cisza. Menhiry w mundurach poruszyły się i widziałem wyraźnie, jak każdy z nich znak krzyża na sobie położył. Koniec — pomyślałem sobie; dreszcz jakiś dziwny przeszedł po mnie i zakończył się łzami. Nie doznawałem zupełnie tych wstrząśnień, które łązy poprzedzają. Płynęły same cicho i zwiększały jedynie wilgoć murów. Wiem

tylko, że mocno trzymałem się krat więziennych, ażeby nie upaść. Znowu bębny i trąbki grały, ale te dzikie dźwięki nie wywoływały we mnie żadnego wrażenia; ślizgały się po mojej duszy, jak szkło po żelazie. Wtem... cóż znowu takiego? Z paszczy bramy wysuwała się szara kolumna żołnierzy, jak wąż wyciągnięta, a przodem jej postępowała muzyka i grała wesoly, skoczny marsz tryumfalny. Ha... po zwycięstwie można. Pierwszy to raz w życiu mojem tyle sprzecznych wrażeń rozbijało się o moją młodą duszę, w której budziły się najszlachetniejsze uczucia i myśli, ale nie było jeszcze ani śladu żalu i nienawiści do ludzi. Są to już zdobycze kultury politycznej.

Dygnitarze rozjechali się. Wojsko wróciło do domu. Echa wesolych marszów skonały w murach fortecznych. Na wale cytadeli znowu przechadzał się sztyldwach samotny. Tylko moja wstrząśnięta dusza długo uspokoić się nie mogła.

Ten obraz, widziany przez kilka minut, ten dramat, który się odegrał poza moim wzrokiem, ale utkwiał w mojej wyobraźni, noszę zawsze w sobie i ze sobą. Już odwach zniesiony, na placu niegdyś pustym park się rozrasta, samotna, odrapana niegdyś cerkiewka odnowiona i odświeżona; ale to wszystko, co widziałem, żyje we mnie.

Miejsce to, gdzie się spełniła ofiara poświęcenia się, odwiedzałem dwa razy w życiu. Raz w r. 1875 (jeszcze odwach istniał). Szedłem wówczas tą drogą, którą niegdyś wędrował orszak żałobny. Minąłem bramę Czernihowską i zatrzymałem się na mostku, szeroko rzuconym przez fosę forteczną na drodze, wiodącej do tak zwanego Żelaznego mostu na Dnieprze. Na lewo fosa szła spadzisto i nie było miejsca do ulokowania się wojska i asystencji; na prawo fosa ciągnęła się dość długą linią, a za nią było dość miejsca dla wojska. To tu — pomyślałem sobie. Z tego punktu słyszałem echo dolatujących ku mnie wy-

strzałów; stąd tylko mogli patrzeć owi ciekawi, których z mego okna więziennego na szczycie wału widziałem.

Patrzyłem na dno fosy trawą porośnię. Płaszczyzna była równa, gładka, zielona. W jednym miejscu tylko, bliżej mostku, tuż obok siebie widać było trzy czworoboki, niby trzy łysiny, przeglądające z pośród otaczającej je zieleni.

Ruda szczerą glina z trudnością przeradzała się w urodzajną ziemię. Gdzieniedzie wydobywały się z niej żdźbła trawy, ale natomiast gęsto rozrastały się na niej dzikie powoje. Były w pełnym kwieciu. Tu były grobowce dobrowolnych pokutników za winy praojców. Ręka ludzka pilnie zatarła ślad za nimi, ale oni żyją... żyją... Patrzą ku nam bladoróżowymi kielichami powojów, a rylec dziejów już ich imiona zapisał. Przyznam się, że z wielkim wzruszeniem patrzyłem na to miejsce i zdało mi się, że czuję migdałowy zapach dzwonek powojowych...

Drugi raz szedłem od Dniepru. Zatrzymałem się przy starym odwachu, gdzie niegdyś Konarszczycy siedzieli. Dziś jest to więzienie śledcze żołnierzy szeregowych. Nie wielki parterowy budynek, w ślicznym miejscu położony. Ażeby celu swego właściwego nie wyjawiać, położyłem się opodal na trawie, niby zmęczony. Było to w lecie. Zdjąłem bez ceremonji surdut i kapelusz. Za chwilę zjawili się żołnierze jeden, drugi i zaczęły się indagacje. Zasłoniłem się przechadzką, zmęczeniem i po przyjacielsku zaproponowałem, czyby nie chcieli przynieść — kwasu. Jest to doskonały i ulubiony przez Rosjan napój. Przynieśli kilka butelek — co się im widocznie bardzo podobało. Kwas wnet ożywił, odświeżył, rozwiązał języki. Sami opowiadali mi wszystko, co wiedzieli. Od nich dowiedziałem się, że tu po 1831 roku siedzieli Polacy, a potem — znowu siedzieli. Szczegółów oczywiście nie wiedzieli, ale fakt w pamięci ludzkiej pozostał i przechodził z pokolenia na pokolenie.

Uraczywszy ich kwasem, pożegnałem się i podążyłem wprost ku bramie Czernihowskiej. Było to w roku 1883. Zatrzymałem się znowu na mostku. Znalazłem znowu mogiły, ale już z trudnością. Głina szcerniała i porosła trawą. Tylko dzwonki polne rosły, jak dawniej, bujnie i wskazywały miejsce wiecznego spoczynku. Czy rosną dotychczas? Chciałbym jeszcze raz przed śmiercią powitać je z takim rozrzewnieniem, z jakim na nie patrzyłem po dwakroć...

Ten epizod późniejszy z mego życia nasunął mi się mimowoli pod pióro jako zaokrąglenie przeżytych wrażeń, związanych ze śmiercią Krzyżanowskiego i Padlewskiego.

Po tych wstrząśnieniach i wrażeniach egzekucji nastąpiła znowu rozpaczliwa jednostajność. Przybyły do tego inne wrażenia. Zbliżała się zima. Cela, zawsze wilgotna, stawała się jeszcze posepniejszą, smutniejszą, bo chłodną. Był wprawdzie piec, ale w nim nie palono. Myśl ciągle zajęta przeżywanem życiem staje się podobną do muchy, która, wpadłszy do gorącej wody, kręci się chwilkę, aby się z niej wydobyć, i wśród tych nerwowych ruchów ginie wreszcie. Więzienie samotne staje się tak okropnym ciężarem, że człowiek pragnie za wszelką cenę wydostać się z niego. Tylko natury apatyczne poddają się temu ciężarowi i — gniją, jeśli los nie przeniesie ich w inne warunki życia. Ja należałem do kategorii buntowników: nie mogłem pogodzić się z murami i ze sobą. Osobliwie po owej egzekucji jakiś mię szal opanował. Począłem myśleć, jakby się z tych murów wydostać. A później? Nie miałem planu żadnego. Rozpacz nie bywa nigdy rozumnym doradcą. Wydostać się stąd — oto było jedyne pragnienie.

Zacząłem badać swoją celę i sposoby wydobywania się. Dziś powiedziec muszę otwarcie, że to były zwykłe marzenia, absolutnie nieiszczalne, — skierowanie myśli na najważniejszy w danej chwili temat... nic więcej. Pod drzwiami szyldwach, który każde poruszenie moje śledzi, pod oknem szyldwach, na wale szyldwach; ale to trudno.

Sam na własną rękę nic nie zdołam uczynić. Kraty rewidują codziennie. Gdybym nawet zdołał je przepiłować i wyskoczyć, to wpadnę na bagnet; jeślibym zdołał nawet przebiec kilka kroków, zastrzelą mnie, nie ten, to drugi. Jeśli obaj nie trafią — to mnie złapią na ulicy o kilkanaście kroków dalej.

Tą drogą zatem nie: Podkopać się, przebić fundamenty? ba! a co z ziemią robić? Wynosić i wrzucać do wychodka... To lata trwać może, a wkońcu wykryje się. A gdyby się nie wykryło nawet? Ażeby się podkopać, trzeba pracować pod podłogą; a przecież gdyby sztyldwach dojrzał tylko, że mnie w celi niema, już byłoby po nadziei, bo albowy mnie znaleziono pod podłogą żywego, albowy się tam zadusił. Kopać — może i nie trudno; ale bez narzędzi, bez busoli?

Zatem i ten plan do niczego.

Gdyby nas tu było kilku, to co innego. Trzeba zatem czekać:

Mijały tedy dnie w oczekiwaniu, aż pewnego poranku dyżurny oficer wszedł do mojej kamery ze sługą więziennym.

— Kazano pana wyprawić... — rzekł.

A do posługacza:

— Rzeczy związać... udasz się z konwojem.

Związano tedy moje chude gospodarstwo w prześcieradło, i w asystencji trzech żołnierzy i z posługaczem, niosącym tłumoczek, ruszyliśmy przez bramę Wasylkowską.

W drodze dowiedziałem się, że idziemy do Baszty Prozorowskiego, zwanej Okrągłą.

II.

W Baszcie Prozorowskiego, czyli Okrągłej.

Muszę się przenieść wspomnieniem na inny zupełnie kraniec fortecy, północno-zachodni i południowy, gdyż

tutaj skupili się prawie wszyscy więźniowie z roku 1863. Z tej strony Kijów był broniony przez t. zw. Basztę Półokrągłą, Środkowe Reduty i Basztę Okrągłą, czyli Prozorowskiego, która jedną ścianą swoją zwracała się ku najnowszej części Kijowa, zwanej Nowe Miasto, powstałej dopiero w pierwszej połowie XIX w., kiedy Mikołaj począł rozszerzać fortecę Piotrową, a mieszkańców, zajmujących niegdyś przedmieścia miasteczka Peczerskiego, przeniósł z góry na niziny nad rzeczką Łybedzią.

Otóż o Baszcie Prozorowskiego, zwanej krótko Okrągłą, mówić będę.

Na wiosnę roku smutnego, a jednak pełnego gorących i wielkich nadziei, kiedy już wiadomem się stało, że nadzieje zakończyły się katastrofą, poczęto basztę Prozorowskiego, forty, Środkową Redutę i Basztę Półokrągłą na gwałt przerabiać na więzienie i ściągać tam z różnych prowincjonalnych więzień powstańców.

Po różnych peregrynacjach, w październiku 1863 roku, dostałem się do Okrągłej Baszty. Z tej epoki mego życia spisuję część wrażeń — wrażeń tylko, nic więcej. Ani wiek, ani wykształcenie stosowne do wieku nie pozwalały mi zająć żadnego stanowiska w pracy powszechnej ówczesnego społeczeństwa. Ze słyszenia, z opowiadań innych pisać nie chcę; wolę przeto ograniczyć się do garści wrażeń przeżytych, odczutyh, a nieraz i przecierpianych, ale własnych.

Otóż pewnego pięknego poranku w październiku, zdaje się dziesiątego, około godziny jedenastej rano, przy prowadzono mię w należytej asystencji z głównego odwachu kijowskiego, gdzie dotąd siedziałem, do Baszty Okrągłej. Po krótkiej spowiedzi w izbie odwachowej prowadzącego mię podoficera i oddaniu dyżurnemu oficerowi stosownej „bumagi“, przez okrągły dziedziniec przeszedłem z lewej strony na prawą Baszty, a potem na lewy korytarz. Szedłem powoli, z pewną ciekawością, szerokim, jasnym, sklepionym w łuki korytarzem, prawie nie zdając

sobie sprawy, co się ze mną dzieje. Z prawej strony korytarza migwały tylko przede mną drzwi, brunatno malowane, zamknięte na wielkie żelazne rygle i kłódki, u góry posiadające małe, kwadratowe otwory, siatką żelazną zaciągnięte. Do każdego otworu przytulona była jakaś twarz dolatywały mię pytania: „skąd? skąd?” Ale równocześnie odzywał się za mną inny głos, surowo rozkazujący: „stupaj! stupaj!” (idź).

Zatrzymałem się nareszcie. Klucznik brzęknął kluczami i począł otwierać celę. Spojrzałem na drzwi: nr. dziewiętnasty. W tej chwili drzwi się otworzyły. Buchnął na mnie prąd surowego, zimnego powietrza. Spojrzałem przed siebie: dostrzegłem tylko ciemne wnętrze celi, skąd chłodem na mnie powiało. Nie strach, którego nie odczuwałem, lecz inne jakieś uczucie, raczej wstrętu, zatrzymało mię na progu. Znowu przywołało mię do porządku owo sakramentalne: „stupaj, stupaj!” Wówczas klucznik bezceremonjalnie pchnął mię w plecy z całej siły, tak że odrazu znalazłem się w środku celi. Ledwie stanąłem, posłyszałem za sobą trzask zamykanych drzwi i zgrzyt rygli. Zdaje mi się, że dziś słyszę jeszcze brzęk tego żelaza. Wszedłszy ze światła, zdało mi się zrazu, że jestem w jakiejś piwnicy oświetlonej u góry dwiema wąskimi szparami, przez które przebłyskiwało trochę jasności. Stałem bez ruchu, usiłując zdać sobie sprawę z tego, gdzie jestem. Powoli wzrok mój oswajając się począł z ciemnością. Była to izba nie większa nad pięć kroków w kwadrat, o białych ścianach, właściwie brudno-szarych, o wielkiem, łukowem sklepieniu, zaopatrzona u góry w dwie zakratowane strzelnice, owe dwie szpary, przez które wciskało się tak mało światła, że zwykle tylko pod strzelnicą czytać można było. Drewniane nary z siennikiem, stolik niewielki, niegdyś malowany na ciemno-zielono, takż stołek i nic więcej.

Ledwie pierwsze wrażenia minęły, opanował mię smutek i lęk. Jakkolwiek i na Głównym Odwachu byłem

samotny, ale tu samotność wydała mi się groźniejszą, surowszą, straszniejszą, Te ściany okopcone od dymu i brudne, te łuki wysokie, te wąskie szpary u góry, żelazem nakrzyż przegrodzone, półmrok, panujący ciągle, wreszcie cisza jakaś dziwna i straszna, wpływały na nastrój pognebnienia i smutku. Myśl leciała do domu, do rodziny, lub snuły się przede mną obrazy wędrowki na Sybir daleki. Stały mi przed oczyma długie spisy nazwisk, pisanych na ścianie Głównego Odwachu: „w nocy tego a tego dnia zabrano na Sybir...” i szły kolejno nazwiska. A dalej: „jutro my idziemy...” — i znowu nazwiska i data. W tej ciszy i rozmyślaniach nie czułem ani głodu, ani pragnienia. Straciłem zupełnie miarę czasu.

Wieczorem stróż więzienny przyniósł mi miszkę żołnierskiego kapuśniaku, kawałek czarnego chleba, postawił milcząco na stole i odszedł. W pół godziny później przyniósł jakiś cuchnący kubek i w kącie postawił, świeczkę łojową w blaszany lichtarzkę wetknął, zapalił i wyszedł, nakazawszy mi, abym w nocy nie gasił. Już znałem dobrze te porządki. I ów kubek cuchnący, zwany „paraszą”, także mi nie był obcy. Wszystko tak, jak było... To mnie nieco uspokoiło.

Nie pamiętam, czy spałem i jak spałem tej nocy. Świeczka łojowa migotała aż do rana, kopiąc, czerwonym blaskiem oświetlając celkę. Za strzelnicą słyszałem odgłos kroków, głosy jakies: była to zmiana szyldwachów, odbywająca się co dwie godziny nazewnątrz baszty. W nocy, w półśnie, w półjawie, zdawało mi się, że w korytarzu słyszę echa łamiących się nawoływań, coś podobnego do rzuconych w przestrzeń kilku oderwanych wyrazów, które, blakając się w załomach korytarzy, konały pod sklepieniem.

Nazajutrz rano zjawił się stróż i zabrał kubek. Nerwowym ruchem zerwałem się na brzęk klucza. Zobaczywszy stróża, kazałem mu przynieść wody. Zjawił się z dzbankiem, milcząco postawił i wyszedł.

I tak się rozpoczęło życie codzienne.

Okolo godziny dziewiętej, o ile mogłem miarkować po czasie, ukazała się w mojem zakratowanym okienku od strony korytarza twarz jakaś. Mignęła mi w oczach dość długa bródka hiszpańska, wąska, w szpic zakończona, a jednocześnie posłyszałem wyrazy:

— Dzień dobry, kolego! A skąd was przyprowadzili?
Odpowiedziałem pokrótce.

— Jest tu nas kilku na tym korytarzu. Niezadługo poznamy się. Może dzisiaj będzie lepszy klucznik i żandarm.

Trzeba wiedzieć, że na tym korytarzu, nie wiem, z jakiego powodu, dyżurstwo pełnił, oprócz klucznika, także żandarm; obaj zmieniali się codziennie.

Ledwie wyrazy te doszły uszu moich, odezwał się inny głos po rosyjsku:

— Nie wolno! Do celu!

I przypadkowy mój kolega zniknął.

Dowiedziałem się później, że to był dr. Delil z Żytomierza.

Kilka dni minęło — i poznaliśmy się wszyscy. Ale ostrożność panowała taka, że żaden z nas jeden przed drugim nie mówił, za co siedzi, a może i przez wzajemną delikatność nie wypytywaliśmy siebie, nawet wówczas, gdyśmy się już dobrze poznali.

Otóż w korytarzu naszym siedzieli: w nr. dwudziestym Bayer w Białej Cerkwi; w nr. dziewiętnastym piszący te słowa; w nr. ośmnastym Cybulski, człowiek stary, obywatel ziemski, zdaje się z Podola; w nr. siedmnastym dr. Bieliński Korjolan z Kijowa; w nr. szesnastym Ogonowscy, ojciec i syn: ojciec ślepy starzec i syn, o ile mi się zdało, człowiek około czterdziestoletni.

W tej garstce rozbitków można było dostrzec zbiór najrozmaitszych wieków, charakterów, temperamentów. Najbliższy mój sąsiad z lewej strony, Bayer, słuszny, barczysty chłop, był nerwowym sangwinikiem. Z przekonania demokrata chłopomańskiego zakroju, wierzył, jak wszyscy

prawie wówczas na kresach, że w chłopie ruskim tkwi jeszcze jakieś poczucie wolności kozackiej, że na hasło: „wolność!” za oręż porwie i do wspólnej walki stanie. W kilka dni po powstaniu złudzenia te znikły. Przekonano się, że ideałem tego chłopca nie jest wolność kozacka, ani tembardziej polityczna, lecz rabunek i chciwość, podsyte dzikością tatarską. Rozczarowanie, jakie spotkało idealistów z r. 1863, tak silnie podziało na Bayera, że o tem ciągle myślał, mówił, rozważał, a ostateczny rezultat walki, odbywającej się w jego zranionej duszy, ujął się, a raczej skryształizował się w sentencji, którą węglem na ścianie swojej celi napisał:

„Finis coronat opus:

Arystokrata mniejszy, niż chłopus“.

Nietęgie w tej sentencji były rymy, ale była prawda. „Arystokrata“, czyli, wyrażając się ówczesną terminologją, każdy szlachcic, posiadający większy majątek ziemski, był istotnie mniejszy, niż „chłopus“, bo go każdy „chłopus“ mógł bezkarnie związać, jak barana, pędzić przed sobą piechotą do Kijowa, za co odbierał jeszcze kilka rubli nagrody.

Dr. Delil był człowiekiem starszym, więcej niż pięćdziesiątkę liczącym, typ zupełnie francuski nazewnątrz, ale spokojny, cichy, zrezygowany, w sobie zamknięty. Dr. Bieliński, w tym samym prawie wieku, co i Delil, z przystrzyżoną, dobrze szpakowatą brodą, ruchliwy, niespokojny, widocznie nie mógł się pogodzić z tem, co go spotkało. W malutkiej celce było mu zbyt ciasno. Wybiegał z niej przy każdej sposobności na korytarz, który szybkimi, nerwowymi krokami wzdłuż mierzył, skubiąc brodę i przygryzając wąsy.

O Cybulskim nie przechowało mi się żadne wspomnienie oprócz nazwiska. Stary Ogonowski, z daszkiem zielonym nad oczyma, był mało rozmowny. Miał towarzysstwo syna i to mu widocznie wystarczało.

Życie nasze codzienne było niesłychanie jednostajne. Jedynym, zdawało się, pragnieniem wszystkich było otrzymanie przy zmianie warty dobrego, t. j. ludzkiego klucznika i żandarma. A wymagania nie były wcale wielkie i dobrym być nie było trudno. Dobroć polegała na tem, że odmykał cele i wypuszczał nas wszystkich na korytarz. Mogliśmy przeto chodzić dowoli i rozmawiać. Kupowało się tę odrobinę ruchu i wspólnej gawędy półrubelkiem, często jeszcze mniejszą kwotą. Było to z pożytkiem obu stron, bo żandarm i klucznik unikali awantur, które najczęściej ja sam, jako najmłodszy, wywoływałem. Półrubelk, wciśnięty do garści klucznika, zmieniał jego rolę: zamiast pilnować nas, stawał przy oknie i patrzył na dziedziniec, czy nie idzie czasem oficer służbowy, lub nasłuchiwał, czy nie odezwie się dzwonek, zwiastujący przybycie do więzienia jakiegoś dygnitarza, aż do plackomendanta włącznie. Wówczas dawał sygnał, a my wszyscy chowaliśmy się do celi jak susły.

Bywali wszakże tacy klucznicy lub żandarmi, którym, zdaje się, sprawiało przyjemność trzymać nas pod kluczem. Wychodziło im to zawsze na gorsze, ale wówczas pierwsze skrzypce ja grałem. W ciągu dnia klucznik obowiązyany był wypuszczać każdego więźnia kolejka, pojedynczo, na korytarz dla napicia się wody, która w wielkiej beczce stała zawsze w rogu korytarza. Nawiasem powiedziawszy, była to obrzydliwa woda ze studni miejscowej, bardzo głębokiej, a miała smak słony. Piliśmy ją z konieczności, kupując do herbaty wodę dniewową. Wolno nam było także wychodzić „na stronę”, czyli według języka urzędowego „do wietru”. To już była długa przechadzka, bo trzeba było przejść przez cały dziedziniec basztowy, minąć wrota wartowni i dopiero w końcu dziedzińca służbowego, jeśli go tak nazwać można („czornyj dwor”), stał ów przytułek publicznej wygody. Przechadzka odbywała się z ceremonjami, które już znałem. Przywoływano z wartowni żołnierza, który przychodził z najeżo-

nym bagnetem, z rąk klucznika odbierał więźnia, a prowadził i odprowadzał z powrotem, asystując całej ceremonji i postępując tuż za więźniem z bagnetem do ataku.

Spacer do wody odbywał się mniej ceremonjalnie, bo tylko w asystencji klucznika. Jeśli się trafiał drab hajdamacki, który bez żadnej potrzeby trzymał nas bezustannie pod kluczem, wówczas ja począłem krzyać: „wody!” dopóki mnie nareszcie nie wypuścił. Wtedy odpłacałem mu pięknem za nadobne. Napiwszy się wody, a najczęściej nie dotknąwszy jej nawet, rozpoczynałem przechadzkę po korytarzu, podchodząc do celi kolejką i rozmawiając przez zakratowane okienko. Klucznik prosił, błagał, przekładał, że trzeba wejść nareszcie do celi, ale ani w głowie mi to było. Trwała taka certacja nieraz pół godziny. Każdy dzwonek sygnałowy w baszcie lękiem przejmował klucznika, bo groziła mu największa kara na wypadek, gdyby więźnia zastano na korytarzu. Czasem zgadzałem się pójść do celi, jeżeli innym zrobi ulgę, a nieraz drogą dobrowolnej ugody udawało się ułagodzić klucznika.

Zdarzało się niekiedy natrafiać na człowieka surowego, a niezbyt mądrego. Wówczas robiła się awantura. Najprzód pośredniczył żandarm z prośbą, abym wszedł do celi; potem wołano oficera od warty — nowe prośby; a gdy nic nie pomagało, oficer przysyłał kilku żołnierzy, którzy, otaczając mnie z bagnetami jak do ataku, coraz bardziej przypierali do muru, aż wkońcu wpędzali już do celi, a klucznik z triumfem drzwi zatrząskiwał. Ale zwykle surowość jego odbijała się na jego skórze, bo po każdej takiej awanturze i jemu obrywało się za to, że do awantury dopuścił. Drugim razem bywał już łagodniejszy.

Co sobota przysyłano nam z domu bieliznę, cukier, herbatę, nieco przysmaków i trochę pieniędzy na niektóre potrzeby. Kupowaliśmy bowiem nieraz chleb, bułki, a zawsze wodę dniewną do herbaty. Do rąk nie dawano nam wszakże pieniędzy. Pozostawały one w kancelarji

zarządu Baszty, który stróżowi wydawał je na kupno w razie potrzeby. Rachunku nigdy nikt nie żądał i nikt go nigdy nie składał. Pakiety, zaadresowane odpowiednio, składano w biurze komendanta w Cytadeli, skąd przywożono je do więzienia i odsyłano do numeru przez stróża. Każdy korytarz miał swego stróża. Bywali oni najczęściej pośrednikami między więźniem a rodziną, której udzielali niektórych wiadomości ustnie, a niekiedy przynosili kartki z rozmaitemi informacjami i prośbami. Zdarzało się także, że oficerowie odbywający wartę, skutkiem znajomości w mieście, przynosili lub odnosili korespondencję więźnia z rodziną. Byli to ludzie przyzwoici, wykształceni i pełni ludzkości, a czas nie przerobił ich jeszcze, jak dzisiaj, na „istınno-ruskich“ opryczników. Tylko zwykłe stupajki okazywały pewną dzikość i surowość.

Nasz korytarz nosił oficjalną nazwę „lewy“ albo „polityczny“, dla odróżnienia od „prawego“, gdzie się mieścili złodzieje i zbrodniarze wojskowi. Bywali nam oni nieraz bardzo pożyteczni, ale zdarzali się też między nimi i zwykli oszuści. Mam tu przeważnie na myśli zdegradowanych oficerów i podchorążych. Z żołnierzami stosunek był i trudny i niebezpieczny, gdyż wszyscy prawie należeli do kategorii zwykłych przestępców. Jakkolwiek korytarze nasze przedzielone były wielką sienią i osobnymi drzwiami, niektórzy jednak przedostawali się do nas, a mając większą łatwość komunikowania się z miastem, usługi swoje, zawsze prawie skutecznie, ofiarowali. Dwóch mi tylko utkwiło w pamięci. Jednym był podchorąży Baranowski, Polak, wcale nieciekawa figura; drugim zdegradowany oficer Popow. Za co siedział Baranowski, nie wiem. Mówiono, że za jakieś niedobory kasowe w rocie. Być może, bo i buty przeznaczone dla mnie ukradł, jak się później dowiedziałem.

Jakkolwiek wiedziałem, że robiono wielkie starania w celu uwolnienia mnie lub zredukowania kary do minimum i że były wszelkie potem nadzieje, spodziewałem

się, że wypadnie mi wraz z innymi powędrować dalej nieco. Zbliżała się zima. Trzeba się było zaopatrzyć w ciepłe obuwie i ubranie. Otóż, przysłano mi kiedyś z domu wraz z bielizną długie i wygodne do podróży buty. Dostrzegł je Baranowski u stróża, niosącego pakiet, i na oczekaniu urządził zamianę, nie bez porozumienia się ze stróżem. Nie wiem, w jaki sposób odbyła się ta operacja, wiem tylko, że do mnie doszły jakieś liche i krótkie buciki, wcale nienowe. Uderzyło mnie to wprawdzie, ale nie domyślałem się, że to sprawka Baranowskiego. Zapewne urządził to samo i innym.

Popow był innym typem. Niewielkiego wzrostu, blondyn, o bladej, wyrazistej twarzy, wychudzony i wynędzniały, nienawidził wojskowości i rządu. Kiedy mię ulokowano w nr. 19, już stosunki jego z korytarzem politycznym były nawiązane i, jak uważałem, miały charakter życzliwy. Siedział za przestępstwo służbowe: uniósłszy się, uderzył w twarz swego zwierzchnika, za co został zdegradowany na prostego żołnierza. To go nie uspokoiło wcale. Przeciwnie, rozdrażniło jeszcze więcej. Za jedną niesubordynacją poszła druga i dostał się do więzienia. A że wobec wszelkiej władzy zachowywał się zuchwale, zakuto go w kajdany. Miał coś bardzo sympatycznego i pociągającego w swojej bladej twarzy, to też brzęk jego kajdan na naszym korytarzu witaliśmy zawsze życzliwie. Ja osobiście mało się z nim stykałem, byłem za młody do jego towarzysztwa, ale dobre wspomnienie pozostało mi o tym człowieku, który wkrótce zakończył tragicznie smutny swój żywot. Mniej więcej w końcu listopada znikł nagle. Powiedziano nam, że poszedł do szpitala. Nic dziwnego: był przemęczony tem życiem ciężkiem, jakie pędzić musiał w otoczeniu prostackiem. Ale i tu temperament jego wybuchnął: znowu uderzył któregoś ze swoich zwierzchników. Tym razem już mu to nie uszło na sucho: w grudniu, jeśli się nie mylę, został rozstrzelany.

Więzienie celkowe przypomina nadzwyczajnie szlachetniejsze zwierzęta lub ptaki, zamknięte w żelaznych klatkach ogrodów zoologicznych: albo siedzą one nieruchomo, jak orzeł, albo kręcą się w kółko, jakby pragnęły klatkę rozsadzić, jak lwy, tygrysy, wilki, czując, zdaje się, bezsilność swoją wobec żelaza. Co tu robić w tych czterech brudnych ścianach, w celi napoty zaledwie oświetlonej, bez żadnych środków, żeby pracą fizyczną podtrzymać energję ducha i ciała? Młodość moja nie pozwalała mi jeszcze zastanawiać się nad temi pytaniami i zdawać sobie sprawę z następstw, ale instynkt samozachowawczy ciągle utrzymywał w napięciu całą moją energję. Staralem się wychodzić z celki jak najczęściej, pod mniej lub więcej zmyślonymi pozorami, a wyszedłszy raz, przedłużyłem swój pobyt poza numerem prawie zawsze aż do zakończenia awanturą. Zaopatrzenie się w scyzoryk stanowiło epokę w życiu więziennem. Idąc za przykładem innych, nie tyle z praktyki, ile z opowiadań starszych moich kolegów, zacząłem coś lepić z chleba. Zdolności artystycznych w tym kierunku nie miałem wcale, ale sama robota mechaniczna zatrudniała umysł i ręce. Ulepiłem tedy najprzód szachy, które nam się bardzo przydały. Następnie z kawałków kości robiło się pierścionki. Ja nic więcej nie umiałem robić. Wiem wszakże, że inni wyrobiali nawet przedmioty artystyczne.

Mimo to, że z powodu małego oświetlenia wszystkich naszych celi czytanie wogóle było utrudnione, czytałem i uczyłem się dużo, tak że trzy miesiące spędzone w nr. 19 nie przeszły marnie. Przedewszystkiem, dzięki uprzejmości d-ra Bielińskiego, zapoznałem się z dziełami Wiktora Hugo i naprzód przeczytałem kilkakrotnie jego „Nędzników“ (Les misérables), a następnie zabrałem się do dramatów. Powoli zdołałem się zaopatrzyć w ołówek i papier i wziąłem się do tłumaczenia któregoś dramatu. Dziś nie pamiętam już nawet tytułu. Oczywiście, tłumaczenie

to było próbą zabicia czasu, ćwiczeniem stylistycznym w języku — niczem więcej.

Dla urozmaicenia swoich zajęć postarałem się o gramatykę języka włoskiego i zacząłem się uczyć. Trudno mi to było bez pomocy nauczyciela, ale mimo to robiłem znaczne postępy. Brakło mi wszakże słownika i książek, których wogóle w owym czasie w całym Kijowie trudno byłoby dostać. Ale i te zajęcia przerwane wkrótce zostały przeniesieniem na lewą stronę Baszty.

Zanim jednak do tego doszło, czas mi się okropnie dłużył w więzieniu.

Ta jednostajność życia nagle przerwana została, o tyle dla mnie niekorzystnie, że W. Hugo i gramatykę włoską odłożyłem na stronę. W listopadzie, mniej więcej w środku miesiąca, pewnej nocy zrobił się ruch na korytarzu, słychać było stukanie drzwi, echa kroków, brzęk szabli, uderzającej o kamienną podłogę. Było to wskazówką, że kogoś wezmą od nas albo przyprowadzą. Niedawno zabrano właśnie przy takim samym akompaniamencie Bayera. Tym razem przybył nowy gość. Podbiegłem do okienka na pierwsze odgłosy i zdziwiłem się bardzo, spostrzegłszy, że właśnie przed moimi drzwiami zatrzymali się żołnierze, żandarm, klucznik — i poczęto otwierać celę. Wszystko to robiło się w cichości, w milczeniu. Do celi mojej wpełchnięto człowieka niewielkiego, o bystrych, niespokojnych oczach, wąskim, małym czole, o gęsto zarośniętych i złączonych brwiach, czarnej czuprynie. Równocześnie żołnierz cisnął na środek celi jakieś zawiniątko; znowu zgrzyt rygli, ostry dźwięk klucza — i wszystko znikło.

Nowym moim kolegą był Fidelski — imienia nie pamiętam. Nie pamiętam, skąd go przywieźli i za co. W czasie naszego wspólnego mieszkania nie spowiadaliśmy się przed sobą. On zwierzał się mało, ja jeszcze mniej. Był to człowieczek nerwowego, gorączkowego usposobienia, nadzwyczajnie ruchliwy i wrażliwy. Wiem tylko tyle, że był, zdaje się, organistą, którego jakiś przyjaciel zdradził,

skutkiem tej zdrady dostał się do „kamery“ nr. 19, do której ze wszech miar nadawał się przymiotnik „obscura“. Ten zawód, jekiego doznał od władzy i od przyjaciół, bolał go bardzo, nie mógł go przeboleć.

Gdy się zapoznał już ze wszystkimi, opowiadał nader gorączkowo o przykrości, jaka go spotkała, a pocieszającym odpowiadał stereotypowo:

— Ależ to boleśno, boleśno... — tonem bardzo dramatyczno-łzawym.

Młodszy Ogonowski potakiwał mu, poprawiając:

— Prawda, że to boleśnie... ale cóż robić!

Widocznie myśl o sobie tak bezustannie dręczyła Fiedelskiego, że ciągle wracał do wypadku aresztowania, kończąc niezmiennie:

— Ależ to boleśno, boleśno...

A Ogonowski niezmiennie mu potakiwał:

— Prawda, że to boleśnie... ale cóż robić!

Z tym kolegą o zakroju dramatyczno-humorystycznym niedługo kolegowalem. Przeniesiono mię wkrótce na lewą stronę Baszty. Straciłem z oczu na zawsze jego, Biełińskiego i Delila, o których pamięć najmilszą zachowałem dotychczas.

Dłuższy pobyt w więzieniu, mimo jednostajności życia, nastęrcza zawsze pewną sumę rozmaitych wrażeń i obserwacyj. I moja młodość więzienna przeżyła i zapamiętała niéjedno. Nawet przelotne, chwilowe wrażenia odbijały się w pamięci niby wypadki ważne. Kogoś się widziało, kogoś się słyszało raz w życiu tylko, przez chwilę jedną — i już w pamięci pozostał na zawsze.

Więźniowie z pierwszego piętra używali co pewien czas przechadzki na dziedzińcu. „Na górze“ siedzieli albo tacy, którzy już byli skazani, albo więźniowie zaliczeni do pierwszej kategorii przestępców, a więc: dowódcy, członkowie rządu narodowego na Rusi lub inni „zbrodniarze“. Ta ostatnia kategoria trzymana była pod kluczem i nadzwyczajnym rygorem. Można ich było oglądać przy-

padkowo, prowadzonych do komisji śledczej. Zwyczajni zaś przestępcy, których urzędowo nazywano „buntownikami“, już po wyroku będący, korzystali z prawa przechadzki. Nasz korytarz jeszcze tem prawem się nie cieszył.

Ale wspomniałem już, że częste moje przechadzki „na dwór“ ułatwiały mi rozglądanie się dokoła i nasłuchiwanie jakiegoś głosu. Często zdarzało się dojrzeć na górnym korytarzu twarz jakąś, która na zawsze utkwiała w pamięci. W czasie przechadzki więźniów okrągły dziedziniec basztowy dzielił się średnicą na dwie połowy. Na linii średnicy ustawiali się wówczas żołnierze z karabinami o bagnetach najeżonych, tworząc nieprzerwany łańcuch od jednego do drugiego końca obwodu koła, ale wzdłuż tej linii łańcucha szła droga z prawej strony Baszty (od bramy wjazdowej) do dziedzińca służbowego, gdzie, jak powiedziałem, były „pawilony“ tak niesłychanie zanieczyszczone i cuchnące, jak tylko w Rosji spotkać można. Tą drogą i ja musiałem wędrować.

Pewnego ranka, w czasie wędrowki, spostrzegłem kogoś spacerującego, który ku górze patrzył. Podniosłem i ja wzrok mimowoli. W oknie górnego korytarza stała wysoka, szczupła postać mężczyzny bez czapki, o ciemnych wąsach, wydatnym nosie. W oświetleniu słońca widziałem go doskonale. Po chwili otworzyło się okno i ów nieznajomy krzyknął:

— Z jaskółkami będzie wojna...

Nigdy tam potem nie widziałem tego nieznajomego. Ale wypadek pozwolił mi go poznać w Warszawie. Było to liczne bardzo zebranie mniej więcej w roku 1889. W oczekiwaniu wieczery, mężczyźni zeszli się w wielkim gabinecie na cygaro i papierosa. Gdym wszedł tam, na progu między salonem, pełnym rozgwaru pań, a gabineciem rozmawiało dwóch nieznanym mi mężczyznom. Ja stałem przy biurku i rozmowy słuchałem. Nie rozmowa mnie interesowała wszakże, lecz ludzie. Nie ludzie nawet—głos tylko jeden mię uderzył. Zdawało mi się, że głos ten sły-

szalem, że ludzi znam. Usiłowałem przypomnieć sobie i dźwięk głosu i ludzi.

Jednego poznałem prędko. Był to Aleksander Szumowski, niegdyś profesor geografji w gimnazjum w Kijowie. Profesor rozumny, zdolny, pedagog cierpliwy, człowiek nieposzlakowanej prawości charakteru, Polak gorący i bezinteresowny. W r. 1863 usunięto go z gimnazjum i bez dowodu winy wysłano w głąb Rosji. Po pewnym czasie wrócił i osiadł w Warszawie. I tu uściśnałem serdecznie rękę jednego z najlepszych nauczycieli. Niech mu ta ziemia ojczysta, którą kochał, nie ciąży!

Tak samo po głosie poznałem i drugiego nieznajomego. Był to Tanajewski, ten sam, którego przez chwilkę w oknie widziałem i słyszałem, gdy wypowiedział tylko te wyrazy:

— Z jaskółkami będzie wojna.

Zrazu niedowierzająco przyjął moje oświadczenie, ale gdym mu przypomniał czas, okoliczności, miejsce, ową przechadzkę nieznajomego na dziedzińcu Okrągłej Baszty, uwierzył, że można poznać kogoś nawet po 25 latach po głosie. Przypuszczał, że jestem bardzo muzykalny, ale podziwienie jego nie miało końca, gdy się dowiedział, że wcale muzykalnym nie jestem.

Po tej niewielkiej dygresji wracam znowu do mojej Baszty i przechadzek. Na jednej z wycieczek spotkałem się oko w oko z innym nieznajomym, a jednak znajomym. Był to Maurycy Drużbacki. Jeśli się nie mylę, w sierpniu 1863 r. przyprowadzono go na Główny odwach w cytadeli kijowskiej. I ja wówczas miałem szczęście tam przesiadywać. Za co i za kogo mię miano, nie wiem, zapewne za jakąś wielką figurę, ja zaś w rzeczy samej byłem niczem, zwykłym pionkiem, który niezbyt doświadczoną ręką posunięty, ażeby króla zastonić, i króla nie zastonił i sam w łeb dostał. Dość, że mię z początku trzymano na Głównym odwachu, zanim mię stamtąd translokowano do Baszty Prozorowskiego i trzymano w celkowym wię-

zieniu, zawsze w tem przekonaniu, że przecież coś ode mnie wydobyć można.

Otóż na Głównym odwachu pewnego pięknego poranku spotkałem się ze słusznym, pięknym, barczystym mężczyzną, o dużej czarnej brodzie i energicznym wyrazie twarzy. Był to właśnie Maurycy Drużbacki. Aresztowano go w drodze do Kijowa podobno, wiozącego jakieś ważne rozporządzenia, zdradzające jego rolę polityczną w organizacji narodowej. Spotkanie się moje nieme w Baszcie, jak i na odwachu, było pono ostatniem dla nas obu; wkrótce bowiem został rozstrzelany.

Najcięższe do przebycia były zwykle noce ciche — cichością swoją, jako też szmerami, które w tej ciszy wydawały się jakimiś tajemniczemi głosami. Cichość ta doprowadzała do rozpacz. Żadnej rozrywki dla oka i umysłu, żadnej różnaitości wrażeń. Jednostajność straszna, zabijająca, denerwująca najsilniejsze młode natury. W zimie słyhać było tylko chrzest śniegu pod nogami szylkwacha, zmieniającego się nazewnątrz Baszty pod strzelnicami krótką rozmowę z gefrajtrem; a potem znowu cisza, przerywana skrzypieniem śniegu pod stopami biedaka, marznącego pod murem. Za drzwiami od korytarza ciche kroki klucznika lub żandarma, przypominające skradającego się tygrysa. Czasem w małym zakratowanym okienku błysną ciekawe oczy. A nad tem wszystkim rozpościera skrzydła swoje cisza, brzęcząca tajemniczemi głosami.

Przypadkowy mój towarzysz, Fidelski nie był wcale figurą interesującą. Człowiek bez wykształcenia, bez wrodzonych zdolności, zajęty tylko myślą o sobie, w krótkim bardzo czasie stał się nudnym. Inni traktowali go z pewnem niedowierzaniem, a nawet podejrzliwością. Nauczyłem się od niego jednej rzeczy tylko: gotowania klusek w samowarze. Bezczytność wśród długich nocy zimowych zdawała się wprost zabójczą. Trzeba było czemś czas wypełnić. Posyłałiśmy tedy stróża po mąkę jeszcze za dnia, a że nam wolno było w celi mieć samowar i węgle, na:

stawialiśmy przeto samowar, miesili ciasto i gotowali klu-
ski albo zacierkę na wodzie. Była to różnorodność wśród
bardzo jednostajnego życia. Ale i to niedługo trwało. Fi-
delskiego, jak nagle zjawił się, tak w krótkim bardzo czasie
zabrano ode mnie. Znowu zostałem sam.

Prawie w tym samym czasie, kiedy objąłem w po-
siadanie nr. 19, nade mną w górze, jeśli się nie mylę,
w nr. 1, siedział Romuald Olszański, uważany powszechnie
przez komisję śledczą za dowódcę oddziału kijowskiego.
Była to osobistość bardzo popularna w kołach uczniów
uniwersytetu św. Włodzimierza. Cała rodzina znana była
z głębokiej miłości kraju i poświęcenia się. Romuald Ol-
szański był nauczycielem konnej jazdy, a że miał swój
dom i stajnie tuż obok uniwersytetu, mnóstwo młodzieży
mieszkało w jego domu, który stał się poniekąd środo-
wiskiem konspiracyjnym. Mówiono powszechnie, że Ol-
szański będzie skazany na śmierć. Siedział on odosob-
niony i pilnowany, niezależnie od zwykłych środków
ostrożności, przez żandarma, czuwającego dzień i noc
przed drzwiami jego więzienia.

Część Baszty, w której ja siedziałem, prawa, ze wzgó-
rza, na którym stała, miała widok z pierwszego piętra
tylko — na część Kijowa, zwaną Nowe Miasto. Od strony
miasta można się było zbliżyć do Baszty bez żadnej prze-
szkody, tembardziej że tuż prawie pod jej murami szła
ścieżka, łącząca dwa przedmieścia, a w dół do Nowego
Miasta była nawet droga jezdna, oprócz ścieżek.

Korzystając z takiego położenia, rodziny więźniów,
siedzących na pierwszym piętrze, podchodziły tak blisko
do Baszty, że ze stojącymi w oknie więźniami można było
rozmawiać. Zapobiegano temu wprawdzie łatwo, zamy-
kając okna, ale mimo to potrzebne nieraz wiadomości
dochodziły właściwego przeznaczenia, a to dzięki temu,
że nie zwracano uwagi na parter Baszty. Powiedziałem
już, że w parterze okien nie było, tylko strzelnice, i to
dość wysoko umieszczone. Otóż, ja i zapewne inni, przy-

stawiając stół do ściany, wyglądałem nieraz przez wąskie szpary na świat boży. Oprócz pochyłego ku Nowemu Miastu wzgórza nic więcej nie widziałem, ale widziałem na tej pochyłości ukazujące się postacie, najczęściej niewieście, a nieraz mię dolatywały urywki rozmowy.

Ponieważ cela więzienna Olszańskiego była bezpośrednio prawie nad moją, nie trudno się było domyślić, że te smutne wizyty jemu składano. Zamknięcie Olszańskiego w takim surowo strzeżonym odosobnieniu było złym znakiem. Z tego samego numeru Drużbacki już poszedł pod kule, a jego miejsce w celi zajął Olszański. Znać i on przeczuwał swój koniec. Nieraz wśród ciszy nocnej, strasznej ciszy, zdawało mi się, że głos jakiś mię dochodzi, niby szept jakiś, niby jęk, przedzierający się przez sklepienie. Myślałem z początku, że to przesłyszenie, ale szmery te powtarzały się co noc, a słuch mój, wydolikany ciszą, był nadzwyczaj czujny. Wsłuchując się coraz pilniej, przekonałem się, że się nie mylę. To Olszański modlił się głośno, a ostatnie dźwięki słów jego modlitwy przedostawały się przez mury sklepienia aż do mnie. Później coraz dokładniej jego modlitwę słyszałem. Nie dochodziły do mnie słowa, ale smutny rytm modlitwy słyszałem wyraźnie. Wówczas i ja, dziecko prawie, pod wpływem tego nastroju, nie mogłem się oprzeć bezbrzeżnej rozpacz.

Pewnego popołudnia nawprost mojej strzelnicy spostrzegłem postać niewieścią, usiłującą zbliżyć się do murów Baszty. Szyldwach odpędzał ją, krzyząc zdaleka: „nie! nie! nie!”. Krzyk jego właśnie zwrócił moją uwagę. Wcisnąłem głowę jak można najgłębiej do strzelnicy i krzyknąłem głośno:

— Do kogo?

Na to otrzymałem krótką odpowiedź:

— Olszańskiemu już księdza posłano.

Wiadomo było, co to znaczy. Zakomunikowałem tę wiadomość zaraz Delilowi i Bielińskiemu, a jak tylko zmrok zapadł, zjawił się istotnie ksiądz.

Nie spałem całą noc prawie. Około północy poszłem na górze hałas i brzęk szabel. Zaraz zbliżyłem się do mego okienka i krzyknąłem na cały korytarz:

— Już biorą... po Olszańskiego poszli...
Nad ranem rozstrzelano go.

* * *

Około Bożego Narodzenia zaszła zmiana w mojem położeniu. Nie na lepsze wcale. Pewnego dnia wszedł do mojej celi oficer dyżurny ze stróżem i żandarmem.

— Numer 19-ty, wybieraj się pan!
— Dokąd? — zapytałem mimowolnie.
— Zobaczysz pan.

Odpowiedź zadowolili mnie zupełnie. Już więcej o nic nie pytałem.

Zbieranie się wymagało nadzwyczaj mało czasu. Nie wiem, czy cała ceremonia pięć minut trwała. Stróż zabrał samowar, pościel, ja nic do zabrania nie miałem. Scyzoryk, trochę papieru i ołówek miałem przy sobie. Atramentu nie wolno było posiadać.

Przez zakratowane okienko patrzyli moi współtowarzysze.

— Dokąd? Dokąd? — pytano przez kratki.

— Nie wiem, była jedyna odpowiedź. Do widzenia! Jeszcze kilkanaście kroków i już byłem na dziedzińcu.

Tu nowe zdziwienie. Nie prowadzono mnie do bramy, ale do drzwi lewej strony Baszty. Szedłem zupełnie obojętnie. Nie doświadczałem żadnych wrażeń. Na lewej stronie Baszty znowu lewy korytarz był dla mnie przeznaczony. Na progu stał klucznik. Wpuścił całą gromadkę. Oficer rzekł rozkazująco:

— Numer ósmy!

Klucznik zrobił parę kroków na prawo i pierwszą celę od wejścia otwierał począł. Już znałem dobrze te wrażenia i te zgrzyty rygli żelaznych. Spojrzałem na drzwi— numer ósmy. A więc to tylko przenosiny, dla różnaitości. Wszedłem do celi spokojnie, z miną człowieka, który już

to wszystko zna. Najprzód ciemność mię ogarnęła jeszcze większa, niż w numerze dziewiętnastym. Cella była o wiele gorsza, ciemniejsza, zimna, raczej przypomniała piwnicę, niż mieszkanie dla człowieka przeznaczone.

Jak tylko wzrok mój oswoił się nieco z ciemnością, zacząłem badać nowe mieszkanie. Pozornie nie różniło się ono niczem od poprzedniego: taka sama wielkość, brud, ponurość. Ciemniejsze tylko było. Spostrzegłem to zaraz po wejściu. Bliższe rozpatrzenie się wyjaśniło mi zagadkę. Strzelnice mojej celi wychodziły na dziedziniec służbowy. Widać było tylko przez nie szeregiem ustawione stosy drzewa, dachy jakichś budynków, kawał malowanego na żółto muru, otaczającego ów dziedziniec, a przytykającego tuż do prawej strzelnicy mojej celi. Było mi tutaj i smutniej i ciemniej, niż w numerze dziewiętnastym. Ale trzeba było sobie stworzyć nowe warunki życia. Na szczęście, przyniosłem ze sobą gramatykę włoską. Począłem tedy dalej wykuwać kartkę za kartką. Ale wkrótce nawiązały się znajomości z przypadkowymi kolegami — i gramatyka poszła w ką.

Moje towarzystwo więzienne — jeżeli tak powiedzieć można — z prawej strony Baszty było zbyt dla mnie poważne. Różnica wieku czyniła mię nieśmiałym. Tu stosunki ułożyły się inaczej dzięki przypadkowemu spotkaniu się z dwoma kolegami szkolnymi. Los rozmieścił nas w takim porządku: numer ósmy zająłem ja, numer siódmy Chrzyszcz, numer szósty Ochrymowicz, numer piąty Synehub, Rusin, i numer czwarty Pilipenko, także Rusin. Chrzyszcz posiadał drukarnię czy księgarnię w Żytomierzu. Był to mężczyzna około trzydziestki, brunet, niewielkiego wzrostu, żywy i rozmowny. Za co siedział — nie pamiętam. Mówiłem już, że na tym punkcie panowała duża dyskrekcja; jeżeli kto sam nie opowiadał przyczyn swego aresztowania, nikt go o to nie pytał, chyba że po pewnym czasie nastąpiło dobre poznanie się i zbliżenie. Ochrymowicz był moim kolegą z gimnazjum, któremu

rok 1863, tak jak i mnie, przeszkodził wstąpić do uniwersytetu. Ten nie potrzebował robić przede mną tajemnic. Wspomniałem już, że w Środkowej Reducie siedział oficer rosyjski pod przybranym nazwiskiem Borowskiego. Był jednym z przywódców powstania na prowincji. Lada dzień zachodziła obawa, że prawdziwe jego nazwisko zostanie wykryte, że zatem spotka go niechybnie kara śmierci. Niedobitki rządu powstańczego w Kijowie postanowili go ratować. Opowiadam to zdarzenie wedle relacji Ochrymowicza, niepewny, czy się jaki szczegół w pamięci nie zatarł lub nie zmienił.

Zbadanie dokładne miejscowych warunków więzienia i porozumienie się z Borowskim pozwoliło ułożyć plan ucieczki. Borowski siedział na pierwszym piętrze. Okna z klozetu wychodziły na dziedziniec wewnętrzny. W innym skrzydle reduty mieściła się wartownia codziennie zmieniającej się straży i pokój oficera służbowego. Plan polegał na tem, że pewnego dnia i godziny, już zgóry umówionej, zajedzie na dziedziniec reduty parokonnny powóz z oficerem. Oficer pójdzie do wartowni, a powóz stanie przy ścianie, tuż pod oknem klozetu, skąd wyskoczy wprost do powozu Borowski i umknie. Ażeby nie jechać przez Peczersk, ani też przez terytorjum forteczne, powóz miał ruszyć drogą koło baszty Prozorowskiego, Okrągłej, wiodącą do Nowego Miasta.

Na kuczera przeznaczony został Ochrymowicz, który już w tym celu ćwiczył się w furmańskim rzemiośle; oficerem zaś, który miał ratować kolegę, był Adolf — nie jestem pewny imienia — Dobrowolski. Znałem go osobiście. Otóż Dobrowolski, którego, jako oficera czynnej służby, wpuszczono na dziedziniec reduty, wszedł do pokoju oficera służbowego, zmyśliwszy jakiś interes. W chwili, gdy rozmawiał z oficerem służbowym, Borowski wskoczył do powozu, który pomknął żwawo, z dziedzińca wyjechał, Basztę Okrągłą minął i skierował się na drogę, wiodącą do Nowego Miasta. Zrobił się alarm, spostrzeżono, co się

stało, za umykającym powozem posypały się strzały — chybione. Na alarm i wystrzały wysypała się gromadka mieszczan z Nowego Miasta i usiłowała powóz zatrzymać. Tymczasem powóz zbliżał się do miasta. Jeszcze paręset kroków i byłiby umknęli. Ale wypadek i tu stanął na przeszkodzie: powóz przewrócił się. Obaj tedy, Ochrymowicz i Borowski, poczęli uciekać piechotą. Coraz większy tłum pędził za nimi. Dognano wreszcie obu i przytrzymano. Nadbiegli żołnierze i dopiero rozpoczęło się znęcanie się dzikich ludzi nad bezbronnymi. Poczęto ich kopać i bić kolbami i kulakami w sposób najokropniejszy, tak że obu przyniesiono już na rękach prawie do Reduty Środkowej. Twarz ich i ciała były jedną masą zsiniałego i okrwawionego mięsa. Odrazu musiano obu zabrać do wojskowego szpitala. Dobrowolskiego oczywiście aresztowano. W siedm miesięcy po tej przygodzie Ochrymowicz pokazywał mi jeszcze sińce i rany. Poszedł na cztery lata do rot aresztanckich, jak mi mówiono.

Za co byli aresztowani Synehub i Pilipenko — nie wiem. Synehub, ładny blondynek, z włosami prawie złocistymi, nie ukrywał swoich sympatyj dla Polaków, nawet po przegranej. Był także moim kolegą gimnazjalnym. Pilipenko, niewielkiego wzrostu chłopaczek, trochę gruby, ze skłonnością do tycia, nosił się po kozacku. Miał na sobie ciemno - szafirowy żupan i szerokie hajdawery do cholew.

Korytarz nasz był zupełnie odosobniony i nie miał żadnej komunikacji z innemi. Z tego powodu cieszyliśmy się większą względną wolnością. Klucznik wypuszczał nas zwykle na korytarz wszystkich, a sam stawał na straży, pilnując, w którą stronę udaje się oficer służbowy. Gdy tylko spostrzegł, że skierował się w naszą stronę — niekoniecznie do nas — wówczas leciał jak opętany i zamykał nas. Biada byłaby jemu, gdyby kiedy bodaj jedną celę zastano otwartą.

Ale to nie zdarzyło się nigdy. Pilnowaliśmy klucznika i siebie.

Pobył na tym korytarzu był, jak już powiedziałem, przyjemniejszy. Żyliśmy życiem bardziej koleżeńskim. Najstarszy między nami Chrząszcz przystosował się łatwo. Rysował on wcale nieźle, a nawet pisał wiersze. Wyrysował czarną kredką wewnątrz swojej celi, a u dołu położył taki napis:

„Oto jest moje obecne mieszkanie.
Mam wikt i opał i nie płacę za nie.
Tak. Nie płacę pieniędzmi, ale płacę zdrowiem,
A o innych zapłatach to później opowiem“.

Nie wiem, co się później stało: czy opowiedział dzieje swoje i naszego korytarza. Rysunek ten otrzymałem w darze od niego i przechowywałem długo, aż mi się wkońcu zawieruszył, nie wiem kiedy i gdzie.

Z obu naszymi Rusinami żyliśmy w największej zgodzie i harmonji. Podzielaliśmy wszyscy przekonanie, że „niema Polski bez Rusi, a bez Polski Rusi“. Śladu nacjonalistycznej zawiści i waśni nie było. Rozmawialiśmy po rosyjsku, po polsku, po rusku — jak się komu podobało. Przez myśl nam nie przeszło nigdy, aby język, naród lub przeszłość czynić odpowiedzialnymi za cudze błędy. Była to epoka wiary w przyszłość, wiary tak pięknej i czystej, że nawet klęski nasze, do których ciemny lud wiejski przyłożył rękę, nie wywoływały ani gorczy, ani żółci.

Wszyscy śpiewaliśmy z największym przejęciem:

Sławsia-że, sławsia, swoboda i trud!
Pust' nas za prawdę w turmy zaprut,
Pust' nas pytajut i żgut ogniom:
Piesniu swobody my śmieło spajom!

(Sława ci, sława, wolności i praco!
Niech nas za prawdę w więzieniach zamkną,
Niech nas torturują i palą ogniem:
My pieśń wolności śmiało zaśpiewamy).

Nie przesunęło się nikomu przez głowę, że śpiewać po rosyjsku nie wypada. Z jednej strony nie obudził się

jeszcze szowinizm nacjonalistyczny, z drugiej żale i cierpienia nie rozgoryczyły jeszcze serc naszych. Walczono z systemem, ale nie z narodem.

Między nami a tymi Rusinami, którzy tam wspólnie kosztowali słodyczy więziennego życia, a potem złamani może przez resztę życia przeszli, panował stosunek idealny. Idea wspólnej przyszłości, bez wzajemnych zawiści i żalów historycznych, uszlachetniała obie strony. Śpiewaliśmy tedy z zapalem i wiarą:

Szcze ne wmerła Ukraina,
I szczastie i wola.
Szcze nam bratci-mołodci
Obizwet'sia dola!

(Jeszcze nie umarła Ukraina
I szczęście i wolność.
Jeszcze nam, bracia-zuchy,
Zajaśnieje dola).

Pieśń ta, która się niedługo przed r. 1863 narodziła, nie miała tego hasła wojowniczego, co dzisiaj.

Noc była zawsze straszną.

Kiedy już dobrze poznałem położenie mojej celi, wśród jednej z takich nocy bezsennych począłem myśleć o ucieczce.

Rzecz to była niesłychanie trudna, a nawet poprostu mówiąc niemożliwa. Taką przedstawia mi się dzisiaj. Umysłowi zmęczonemu życiem więziennem inną się wydawała. Ponieważ tuż pod moją strzelnicą wznosił się mur, otaczający dziedziniec, nastreślały mi się dwa rozwiązania: albo przez strzelnicę, podpiłowawszy kratę i rozszerzwszy otwór, dostać się na wierzch muru i umknąć, albo pod podłogą przebić mur baszty w kierunku ukosnym tak, żeby równocześnie można było przebić mur ogrodzenia i znaleźć się poza okiem sztyldwacha, co byłoby niemożliwe przy pierwszym planie. Drugi sposób wymagał więcej czasu, ale wydawał się pewniejszym.

Gdy już miałem przystąpić do wykonania planu, nagle zaszła nowa zmiana w moim położeniu.

Mówiąc prościej, na początku marca 1864 zostałem przeniesiony na tę samą stronę Baszty, ale „na górę“.

* * *

„Na górze“ znalazłem się w towarzystwie bardzo licznym i bardzo urozmaiconym. Swoboda była większa. Siedziałem w numerze trzecim. Był to ogromny pokój, oświetlony zamiast okien dwoma otworami, przeznaczonymi na szyje armatnie. Przeznaczenie to zmieniono o tyle, że otwory (ambrazurami zwane w języku basztowym) przegrodzono kratami, a koszary żołnierskie przemieniono na więzienie.

I tutaj rola moja i stosunki były bardzo ograniczone. W całym towarzystwie tego korytarza było około stu osób. Tu siedzieli już albo skazani, albo oczekujący wyroku, tak że co noc ktoś ubywał. Przybywali rzadko. W ciągu całego dnia nie zamykano nas wcale. Obawa przed ucieczką była niepotrzebna. Przedewszystkiem „siedzieliśmy“ (wyrażenie więzienne) na piętrze za kratami; nie tylko korytarz był zamknięty, ale przy zamkniętych drzwiach słała jeszcze warta. Na dole, w odległości kilku okien, czuwał także sztyldwach. Można było pozostawić nas na korytarzu bezpiecznie. Chodziliśmy przeto luzem, gdzie kto chciał; zamykano nas tylko na noc.

Po pół wieku prawie nadaremnie usiłuję przypomnieć sobie nazwiska kolegów wspólnej niedoli. Niepodobna. Na przedstawienia się wzajemne nie było to ani miejsce, ani czas właściwy. Jeden drugiego o nazwisko nie pytał. Dowiadaliśmy się przypadkiem. Chyba nazwiska ludzi poważnych, starszych były znane. Z celi mojej pamiętam tylko jedno — Stefańskiego, który był pono uczniem kijowskiego uniwersytetu. W numerze pierwszym siedzieli najpoważniejsi więźniowie, ludzie już starsi, którzy z nami nie stykali się prawie.

Ponieważ stosunki na tym korytarzu były wolniejsze, więźniowie mogli sobie, z wiedzą żandarma lub klucznika, dobrać towarzystwo. W czasie zmiany warty i przy wieczornej rewizji imiennej kontroli nie bywało, liczono tylko osoby. Z tego powodu dobór towarzyski bywał do pewnego stopnia ułatwiony. W numerze tym siedzieli: Rudnicki, jasny blondyn, podobno student kijowskiego uniwersytetu, uchodził za poetę, bo nie tylko sam wiersze pisał pono, ale nawet krytykował Leonarda Sowińskiego; dr. medycyny Trachtenberg, imienia nie pamiętam; Zalesski, zdaje się Franciszek, z tym spotkałem się w r. 1903 w Kijowie. Majątek zabrano mu za to, że powstańcy w dziedzińcu jego dworu, w czasie nieobecności właściciela, obiad zjedli. Innych nie pamiętam. Z dalszych numerów naszego korytarza nikogo nie znałem. Zapamiętałem sobie tylko nazwisko jakiegoś Słotwińskiego, krępego, wąsatego szlachcica, którego surowy szyldwach nie chciał puścić na drugą stronę korytarza, gdzie były klozety: zniecierpliwiony szlachetka trzasnął w buzię szyldwacha tak niepoczciwie, że ten zwałił się wraz z karabinem z pierwszego piętra po schodach aż na dół.

Zakres obserwacji mojej był bardzo ograniczony. Do badania stanu duszy mego otoczenia, jego psychiki, nie byłem zdolny, bo mi na to zaledwie rozwijająca się umysłowość nie pozwalała. Wszystko tedy w tym kierunku ograniczało się do odbierania wrażeń zewnętrznych. Roli wybitnej nie odgrywałem żadnej i w moim wieku odegrać nie mogłem.

Życie na naszym korytarzu było bardzo hałaśliwe. Z braku zupełnego jakiegokolwiek regularnej pracy, energia młodości wyładowywała się w śpiewie i w nieskończonych dysputach politycznych wśród starszych i wykształconych, a kłótniach wśród ludzi prostych, bo i takich bywało dużo. Dalsza jakakolwiek nauka w tej różnobarwnej, różnoklasowej zbieraninie, w jakiej się znalazłem przypadkowo, okazała się absolutnie niemożliwą. O skupieniu uwagi mowy

być nie mogło wśród ciągłego gwaru, śpiewów, kłótni. Odłożyłem też na stronę swoją gramatykę włoskiego języka — jak się później okazało — na długie lata. Dzień schodził jeszcze jako tako wśród kręcenia się po korytarzu, rozmówi drobnych tych spraw i interesów, jakie zamknięta atmosfera więzienia wytwarza; ale noc? co robić w nocy? Brak ruchu wywoływał bezsenność. Włóczyliśmy się tedy po kamerze jak cienie. Czasem odzywała się jakaś piosnka, ktoś podchwytował — i nasza wielka sala, nabita więźniami, napełniała się raczej rykiem, niż śpiewem. Wszelkie prośby klucznika o spokój rozбивały się o sklepienie tej sali tak samo głucho, jak śpiew. Aranżerem takich wokalnych produkcji był właścianin z Humanińczyzny, jeśli się nie mylę, sługa dworski, pokojowiec, czy masztalerz, który wraz ze swoim panem do powstania wyruszył, aby się z nim razem znaleźć w więzieniu. Nazwiska ani pana, ani sługi nie pamiętam.

Pokojowca zwano powszechnie Mikołajem. Chłop niewielkiego wzrostu, krępy, ze dwadzieścia pięć lat liczący, o ciemnych włosach i wąsach, ubrany w szerokie hajdawery i tak zwaną „kozaczkę“, podpasaną wąskim rzemieniem paskiem, przypominał zupełnie typ kozaka na dawnych pieczęciach kozackich. Brakło mu tylko samopalu i jolomu (czapki baraniej z obwisłym wierzchem). Natura żywa, ruchliwa, z zadatkami piękna w duszy, o temperamentie niezrównoważonym. Od wybuchu złości i gniewu przechodził nagle do nastroju lirycznego. Był to typ człowieka, w którym tkwił niespokojny duch kozacki. Znał tylko dwa stany duszy: uniesienie aż do zapomnienia się, aż do wybuchu dzikości, i apatię, podobną do determinizmu, albo raczej fatalizmu. Nigdy się nie troszczył o to, co go spotka. Przygotowany był na życie, jak roślina, wszędzie, gdzie wiatr nasienie zanieśie i rzuci. Od wesołości mało uzasadnionej przechodził do smutku tęsknego i porywającego. Wówczas śpiewał. Założywszy ręce wtył,

chodził środkiem wielkiej naszej kamery, od drzwi do okien i śpiewał swoją ulubioną piosnkę:

Tam de Jatrań kruto wjeť'sia
Po kaminiach, taj szumyt',
Tam jest' diwcza, a jak zwet'sia,
Kozak znaje, ta mowczyť'.

Oj, diwczyno ty bohata,
W tebe bat'ko, matir je,
Do bohatstwa krasna chata,
A w tij chati wsioho je.

A ja bidnyj syrotyna:
Step szyroki to mij swat,
Szabla, burka wsia rodyna,
Sywyj konyk to mij brat.

(Tam, gdzie Jatrań kręto się wije
Po kamieniach i szumi,
Tam jest dziewczę; a jak się nazywa,
Kozak wie, lecz milczy.

Oj, dziewczyno ty bogata,
Masz ojca, matkę,
Aż do bogactwa piękna chata,
A w tej chacie jest wszystko.

A jam biedny sierota:
Step szeroki to mój swat,
Szabla, burka to cała ojcowizna,
Siwy konik to mój brat).

Wówczas i w nas odzywała się krew tego samego stepu, który Mikołaja wykołysał; podchwytywaliśmy nutę i chórem unisono rznęli od ucha, jak kto umiał: „Tam, de Jatrań kruto wjeť'sia...” Wszyscy nosiliśmy w duszy jednaki smutek, jednaką tęsknotę, jednaką chęć wyrwania się z tych murów na życie najtwardsze, byle do czynu, do pracy. Nic przeto dziwnego, że piosnka Mikołaja odpowiadała powszechnemu nastrojowi. Byliśmy dziećmi wspólnego kraju i jednakiej doli.

Co się z nim stało? Nie wiem; nigdy już później nie widziałem go w życiu.

Jeżeli nie bawiliśmy się śpiewem, to czas przepędzaliśmy — wstyd powiedzieć — przy kartach. Trzeba było czemkolwiek zająć umysł, zleniwiwały bezczynnością. Nauczyłem się grać w preferansa (o wózku i marjaszu, jako starych polskich grach, nie mówię), ale grałem zawsze źle, bez należytej uwagi i rozwagi, tak że już wówczas uznany byłem za niezdolnego do zdobycia tej szlachetnej wiedzy. Przydało mi się to później, bo poza więzieniem nigdy w życiu nie grałem. Śród długich nocy więziennych zasiadałem przy stoliku ze Stefańskim, Mikołajem i jeszcze kimś i klepaliśmy założonemi kartami aż do rana. Co prawda, nie rujnowaliśmy się na grę, bo całonocna klepanina kończyła się na kilku lub kilkunastu kopiejkach. Mimo to w maju, kiedy translokowano mię z Okrągłej Baszty do innego więzienia, okazało się, że winien jestem partnerom sześć rubli z kopiejkami, które moja dobra i troskliwa matka uznała za dług honorowy i kazała im zapłacić.

Od chwili, kiedy moje szlachectwo uznane zostało w biurze komendanta fortecy, otrzymywałem wikt t. zw. szlachecki. Na czem jego szlacheckość polegała, nie umiem sobie dobrze wytłumaczyć nawet dziś, bo wikt był haniebnie podły; a gdyśmy się skarżyli głośno przed kucharzem, odpowiadał naiwnie: — He... panowie... jedzcie na zdrowie.. ale pozwólcie także jeść „smotrytelowi“ szpitala, jego dzieciom i... mnie...

Śmiałyśmy się z tej aluzji do kradzieży.

Regularnie o pół do 1-ej wnosili żołnierze na korytarz ogromny kocioł miedziany, inny żołnierz niósł na głowie ogromną deskę, oburącz ją trzymając, na której były ułożone kawałki mięsa z patyczkiem wetkniętym pośrodku. Za nim znowu dwóch żołnierzy niosło w koszu chleb pokrajany, dwojaki: czarny razowy i jasny, z mąki żytniej pytlowanej. Można było sobie brać dowolnie czarny lub biały; kawałki białego ważyły dwa funty, czarnego trzy. Cała ta procesja ustawiała się pośrodku korytarza, a my

kolejką zbliżaliśmy się z drewnianymi miskami, lakierowanymi, jakich tylko w Rosji używają, i każdy dostawał pełną warzechę zupy, barszczu lub kapuśniaku i kawałek mięsa na patyczku. Tu już szczęście w grę wchodziło, gdyż mięsa nie można było wybierać, chyba kto przedtem uchwycił lepszy kawałek; zwykle kucharz brał je po kolei i wrzucał wraz z patyczkiem do miski. Zupa i mięso uchodziły za dwie potrawy. Pożywienie wogóle było skąpe. Trzeba się było ratować herbatą i dodatkami z domu.

Więźniowie należący do „klasy nieuprzywilejowanej” (klasyfikacja urzędowa) otrzymywali wikt żołnierski. I ja go czas jakiś jadałem, dopóki zarząd szpitala, gdzie ulokowano kuchnię dla więźniów, nie otrzymał innego polecenia urzędowego. Był to przywilej nielada: bo szlachcica nie wolno było bić w twarz i w skórę (chyba po wyroku), a natomiast karmiono go szlacheckim jedzeniem, niezbyt szlachetnem. Mniej szlachetni dostawali czarny chleb i wikt z „żołnierskiego kotła”, czyli: barszcz, kaszę, kapuśniak, w niedzielę kawałeczek mięsa (najczęściej nie do jedzenia) na patyczku. Barszcz bywał chlebowy, a kapuśniak, wcale do naszego niepodobny, z kapusty siekanej („szczy”), gotowany z drobną rybą (sniwką) albo na kościach. Rozdawano go także w miskach. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że w okach tłuszczu pływały nietylko muchy, ale i pluskwy kąpały się często, a nieraz biały robak, tłściejszy od tłuszczu, pływał bezkarnie, należycie ugotowany.

Gdy się zwracało uwagę na pluskwę lub robaka (mucha była zbyt popularną, aby na nią zwracano uwagę), otrzymywało się regularnie stereotypową odpowiedź:

— Patrzcie go! Jeszcze czego? Jedna pluskwa (albo robak) — i warto to gadać?

Cóż na to było robić? Wyrzucało się pluskwę albo robaka i jadło się zupę jakby specjal jak.

Z kaszą działało się inaczej. Przez krupy, niezawsze dogotowane, ciągnęły się zielone smugi grynszpanowe,

jako niezbity dowód, że kaszę gotowano „według trybu ustanowionego“, t. j. w kotłach miedzianych. Jakaż na to była rada? Przecież kazano gotować w kotłach miedzianych, i działo się według woli „naczalstwa“. Ale w rozkazie nic nie było o pobielaniu kotłów.

Znieśliśmy to wszystko, Bogu dzięki.

W warunkach pozbawionych normalnego trybu najdrobniejszy wypadek, wykraczający poza ramy więziennej jednostajności, przybiera rozmiary niezwykle, porusza wszystkich. Takim wypadkiem było zjawienie się pewnego dnia pani Trachtenbergowej na obszernym placu przed bramą Baszty Prozorowskiego. Najczęściej — chociaż bardzo rzadko — zjawiały się tam kobiety, dla których, trzeba przyznać, mimo wszystko, władze wojskowe miały pewne względy. Nietrudno było zrozumieć motywy tej względności: każdy miał matkę, siostrę lub żonę, rozumiał też ich uczucia lepiej, niż innych. Może i grzeczność dla płci była tego powodem. Dość, że nie dopuszczano wprawdzie kobiet w pobliże więzienia, ale rzadko uciekano się do brutalstwa.

Pamiętam, że Trachtenbergowa przybyła w czarnej sukni, krążyła zdaleka, coś mówiła i płakała. Szyldwach odpędzał ją nadaremnie. Zwiastowała mężowi smutną nowinę — deportacji. Dokąd? Nie wiem. Słyszałem tylko, stojąc przy oknie, uspokajające słowa męża. I znikła wkrótce.

W jaki sposób odbywały się przechadzki na dziedzińcu, już pisałem.

Pewnego razu po obiedzie byłem na korytarzu, gdym posłyszał wołania: — Patrzcie, co Radziwiłł wyprawiał

Był to Radziwiłł z berdyczowskich. Za co siedział, nie wiem, ale dużo opowiadano o jego ekscentryczności.

Spojrzałem przez okno. Zobaczyłem człowieka dość słusznego wzrostu, w burce i rogatywce, który stał przed żołnierzem i odbywał przed nim rozmaite ataki — fajką, trzymaną w ręku. Nacierał, przyskakiwał, przysiadł i wy-

machiwał fajką, jak gdyby szedł na bagnety. Żołnierz zdziwiony i przestraszony cofał się i chwycił karabin jak do obrony, słowem — nie wiedział, co robić. Powstał alarm — i Radziwiłł zaprzestał ćwiczeń.

Wogóle na wiosnę, mniej więcej w kwietniu, mieliśmy pewną ulgę. Widywanie się z rodziną było łatwiejsze, traktowano nas mniej surowo. Nie domyślaliśmy się właściwej przyczyny, a jednak domyślić się nie było trudno. „Najwinniejsi“ już prawie wszyscy spoczywali w przekopie za wałem fortecznym cytadeli. Jeszcze każdy iność widzieć miejsce, gdzie padli: wskazywały je smugi żółtej gliny, a żołnierz, przechadzający się wytrwale po moście przed bramą Czernihowską, nie pozwalał nikomu zatrzymać się i patrzeć na te miejsca, w których spoczywały ich kości. Inni albo już byli po wyroku, albo go oczekiwali.

Słowem, w więzieniu już był porządek. Rozpoczynano go dopiero robić na wsi. Można więc było pofolgować tym przynajmniej, którzy pod kluczem siedzieli.

W Baszcie Prozorowskiego była cerkiewka niewielka dla żołnierzy i służby wojskowej, w której pop co niedziela odprawiał nabożeństwo. Otóż cerkiewka ta za wiadomością, nie bezinteresowną, pobłażliwego djaczka stała się miejscem porozumiewania się więźniów z miastem. W cerkiewce tej nie byłem nigdy, rozkładu jej nie znam, opowiadam przeto z opowiadań współkolegów więziennych i według tego, co widziałem. Wewnątrz cerkwi, za „riznicą“, czyli pokoikiem przeznaczonym do przechowywania ornatów, były podobno schodki na pięterko. Z pięterka tego wychodziło okno wprost na nasz korytarz, na przeciwko numeru pierwszego, gdzie dwie ściany, więzienna i cerkiewna, załamywały się pod kątem jakich 45°. Gdyby okna z naszego korytarza i z pięterka cerkwi otwierały się, możnaby z łatwością ucisnąć sobie ręce. Gdy tedy pop śpiewał mszę w najlepsze, na górze (zapewne działo się to nie bez wiedzy jego) od strony korytarza

pisano kredą na czarnej tablicy, co było potrzeba, i ustawiano ją w oknie. Odpowiedzi otrzymywano na papierze, przyłożonym do szyby okiennej.

Ale niedługo to trwało. Ktoś podpatrzył — i wszystko się skończyło.

Monotonja naszego życia przerwana została przybyciem nowej partji; prawdopodobnie w tym celu porozmieszczano nas wszystkich po różnych celach, ażeby nasz korytarz na dole z lewej strony oddać do dyspozycji nowym wybrancom.

Tymi nowymi przybyszami do Okrągłej Baszty byli ci wszyscy, którzy brali udział w słynnym podkopie i ucieczce z Półokrągłej Baszty. Wśród nich znalazłem także brata mego ciotecznego Leopolda Iłaszewicza, który w całej tej historii magna pars fuit. Z opowiadań zdarzenia tego powtarzać nie będę. Pisano o tem dużo. Ciekawych odsyłam do dzieła, poświęconego powstaniu na Rusi w r. 1863. Przeprowadzono ich do naszej Baszty już jako skazanych na Sybir.

Słyszałem później, że na dziedzińcu Okrągłej Baszty pozwolono mszę odprawić i że całą tę sprawę aranżował Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), ale mnie już wówczas w Baszcie nie było.

Na początku maja 1864 zjawił się na naszym korytarzu oficer dyżurny. Oczywiście, zanim się ukazał na korytarzu, wszystkie cele natychmiast zamknięto. Zjawił się w asystencji, co oznaczało, że kogoś „wezmą“. Orszak ten zatrzymał się przed numerem trzecim. Zabrzczały klucze, zgrzytnęły rygle. Oficer stanął na progu, rozwinął jakiś papier i w tłum ciekawie słuchający rzucił moje nazwisko.

Zbliżyłem się. Spojrzał na mnie obojętnie i rzekł:

— Zabieraj się pan!

Ze spokojem, więcej nawet, bo z radością pewną, związałem wszystko w jeden węzełek. Oficer czekał. Było mi wszystko jedno, gdzie mię powiodą, byleby na inne miejsce.

Tym razem los mi przeznaczył cywilne więzienie, czyli „Tiuremny Zamek“.

I poszedłem...

3. W TIUREMNYM ZAMKU.

Tak pięknie nazywało się moje nowe więzienie.

Na placu przed Okrągłą Basztą spotkałem matkę i siostrę, które wołały ku mnie uradowane:

— Wszystko dobrze... Wkrótce będziesz wolny...

Owo „wkrótce“, jak się przekonałem później, oznaczało jeszcze siedem miesięcy.

Odpędzane i łajane przez żołnierzy, matka i siostra asystowały mi długo, aż już na Peczersku, gdyśmy się zbliżali do Kreszczatyku, zdołałem je nakłonić, aby do domu wróciły.

Dlaczego to wszystko się stało i dlaczego tak się stało, nie umiem powiedzieć i wytłumaczyć. Musiały w to wchodzić brzęczące argumenty, które bardzo często zmieniały cały przebieg sprawy. I wiek mój, prawie dziecinny, odgrywał niepoślednią rolę, boć w takim wieku wszystko można było złożyć na ciekawość, swawolę, namowę — słowem, znaleźć punkt nieodpowiedzialności. Mniejsza o to.

Ów smutny „Tiuremny Zamek“, istniejący dotychczas w pełni swojej chwały, zbudowano niedawno, przed kilkoma laty pono, na przedmieściu kijowskiem, zwanem Łukjanówka, jeśli się nie mylę, przy tak zwanej starej drodze Żytomierskiej. Z jednej strony drogi były rozrzucone w pewnym oddaleniu od siebie chałupy przedmieśczan, z drugiej, w przyzwoitem oddaleniu, na bardzo niewielkiej wyniosłości stało owo więzienie.

Był to ogromny budynek z cegły, dwupiętrowy, otoczony dokoła wysokim murem, a wszystko na bladżółty kolor malowane. Jedne tylko wrota szerokie, strzeżone zawsze przez sztyldwacha, prowadziły do tego przy-

bytku. Szyldwach nie miał prawa ani wpuścić, ani wypuścić nikogo. Do komunikowania się małych grup lub pojedynczych osób służyła furtka; jeśli przychodziły t. zw. partje, otwierano bramę naoścież. Posterunek strażniczy mieścił się wewnątrz gmachu i stamtąd rozsyłano co pewien czas żołnierzy na rozmaite posterunki. Szyldwach przed furtką i bramą stojący, zdaje się zapomocą dzwonka wiszącego, zawiadamiał posterunek strażniczy, że jest nowina. Zjawiał się wówczas podoficer lub, stosownie do umówionego znaku, od żołnierza konwojującego brał „papier“ (bumagę), — bo bez tego ani rusz. Ten sam proceder odbył się ze mną. Wyszedł podoficer, wziął, przeczytał, nie spojrzawszy nawet na mnie, i znikł za furtką. Ja zostałem na dworze, przed bramą. Żołnierze oparli się na karabinach, ja usiadłem na ziemi. Zrobiliśmy piechotą pewnie jakie dziesięć wiorst. Po długim oczekiwaniu znowu się zjawił podoficer i rzekł do trzech towarzyszących mi żołnierzy krótko:

— Chodźcie!

Gefrajter przodem, ja za nim, żołnierze, schyliwszy karabiny, za mną i tak wsunęliśmy się do wnętrza owego pięknego „zamku“. Tuż od wejścia na prawo był dość duży parterowy budynek — kancelarja, a za nią mieszkanie zarządzającego. Godność tę piastował podpułkownik, jeśli się nie mylę, nazwiskiem Anisimow. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, słuszny, barczysty, łysiejący, z twarzą popielatego koloru, człowiek dobry, łagodny i wyrozumiały. Ani ja osobiście, ani ta garstka Polaków, o której mówić będę, nie mieliśmy powodu uskarżać się na niego. Urząd swój pełnił bez dzikości. Z kobietami bywał grzeczny i czasem dopominał się o kwiaty. Zdaje się, że umiarkowane kubany bierał także. Gubernatorowie dziesiątkami tysięcy, a on zadowalał się dziesiątkami rubli. Niewymagający człowiek.

Po wpisaniu rozmaitych generaljów odprowadzono mnie do więzienia. Wędrowałem brudnymi, ciemnymi ko-

rytarzami, nie zdając sobie sprawy, gdzie mię prowadzą. Miałem tylko wrażenie ogromnego brudu panującego dookoła i powietrza zadziwiająco ciężkiego. Na drugim piętrze Anisimow zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i kazał je klucznikowi otworzyć. Odrazu uderzyła moje oczy większa jasność. Był to korytarz z więzieniami celkowymi o sześciu czy siedmiu pokojach. Doszliśmy do końca korytarza i wepchnięto mnie do ostatniej celki — nie pamiętam numeru.

Nie umiałbym zdać sobie sprawy teraz z mego nastroju. Można by to nazwać obojętnością na losy, apatią, zanikiem wrażliwości. Nie wiem. Może to była owa siła młodości, zdrowie fizyczne, które, trzymając nerwy w normalnym napięciu, nie pozwalało mi się roztkliwiać nad sobą. Zdaje mi się, że, gdyby mię prowadzono na śmierć, potrafiłbym zachować ten sam spokój. Ale mniejsza o to. Celka moja była mała, bodaj mniejsza od Prozorowskiej, ale jasna, o dużym, chociaż zakratowanym oknie, a odrazu przy wejściu uderzyła mię obfitość światła. Pełna była słońca. Zaczęło się badanie miejscowości. Wyjrzałem przez kraty — wielki dziedziniec czworokątny i mury dookoła. Żle — pomyślałem. Widząc zdaleka ów „zamek“ prawie w polu stojący, byłem pewny prawie, że bodaj jakieś drzewo i jakiś krajobraz będę miał przed sobą. Tymczasem nic. I z tem się pogodziłem. Najcięższą dla mnie rzeczą było pozbawienie zupełne ksiązek; zabrano mi nawet gramatykę włoską.

Zamknięty byłem w celce dopóty, dopóki Anisimow był na korytarzu. Po jego wyjściu zamknięto korytarz, a celki otworzono. Pokazało się, że trzech nas siedziało tylko, reszta celek była do najęcia: jeden Bułharyn, drugi Parseniuk, jeśli dobrze pamiętam, i ja trzeci. Dwaj pierwsi za fałszowanie pieniędzy, a ja, jak mówiono, za politykę.

Pierwsza znajomość była z Bułharynem. Był to już człowiek stary, po szóstym krzyżyku, słuszny, pełny, barczysty. Przedemną, młodzieniaszką, wstydział się przy-

znać, za co siedzi. Wyszczebiotał wszystko ów Parseniuk, żydek wychrzczony. Bułharyn, jak mi sam mówił, krewny bliski słynnego pisarza rosyjskiego, a niegdyś oficera wojsk Napoleona I, Fadiej (Tadeusza) Bułharyna, człowiek wykształcony i rozumny, już ze dwadzieścia lat tułał się po różnych więzieniach. Ledwie Anisimow wyszedł, stanął Bułharyn przed kratką we drzwiach mojej celi.

— Dzień dobry panu... — rzekł z litewskim akcentem.

Zbliżyłem się do kratki.

— A pana skąd przyprowadzili?

— Z Okrągłej Prozorowskiej.

— Aha...

Widocznie to było wystarczające dla niego.

Po chwilce dodał:

— Zaraz pana wypuszczą na korytarz... klucznik przyjdzie.

I odszedł od kratki. Słyszałem, jak poszłapał dalej, uderzając podszwami pantofli o kamienną podłogę korytarza.

Jakoż wkrótce przyszedł klucznik i wypuścił mię na korytarz.

Co to była za osobistość ów Bułharyn? nie umiem sobie dotychczas zdać sprawy. Znał języki: niemiecki, francuski, rosyjski doskonale. Podróżował po świecie dużo, bo sam czasem to i owo opowiadał, był we Lwowie w czasie rewolucji 1848 roku, ale co robił, poco jeździł? to pozostało tajemnicą. Słówkiem o tem nie wspominał.

Wyglądał na człowieka, który się z więzieniem zżył, czuł się tu zupełnie dobrze i na miejscu w każdej celi. O pragnieniu wydostania się na wolność nigdy nie wspominał. Słowem, robił wrażenie nie więźnia, ale człowieka zadowolonego ze swego losu. Miał jednak jedną manję. Wpadłszy do więzienia w czasach, kiedy funkcjonowały

telegrafy optyczne, nic nie chciał wiedzieć o tem, że je dawno telegrafem elektrycznym zastąpiono, i pracował ciągle nad ulepszeniem optycznego, wierząc, że świat zadziwi swoim wynalazkiem. Na czem ów jego wynalazek polegał? Nie umiem dziś przypomnieć sobie, chociaż mi to niejednokrotnie i długo tłumaczył, a nawet ilustrował na przykładach, porozumiewając się z więźniami na skrzydle przeciwnym. Może wynalazek poniósł ze sobą do grobu.

Parseniuk, mały, szczupły, wąty żydek, nosił się „po niemiecku“, a mówił po rosyjsku, długo wywodząc przede mną, że siedzi tylko skutkiem podejrzania, zupełnie niewinnie. Żadnych mi wrażeń po nim nie pozostało.

Z czasu pobytu mego na tym korytarzu zachowało mi się w pamięci jedno zdarzenie — niezwykle, pierwsze i ostatnie w mojem życiu: chciano mi dać jałmużnę.

Kiedyś w nocy (rachunek dni i miesięcy często gubiło się w więzieniu) zrobił się ruch na korytarzu, za brzękły rygle, odezwały się głosy jakieś. Po chwili zgrzytnął rygiel u moich drzwi i na progu ukazały się trzy postacie: jakiś gruby, opasły kacap w surducie prawie po pięty, a przy nim również dobrej tuszy niewiasta z gołą głową, z chustką na plecach, za nimi w poważnej postawie stał Anisimow. Spojrzeliśmy na siebie z pewnem zdziwieniem. Wtem ów kacap sięgnął do kieszeni i wyjąwszy trzy ruble, zielonkawy papierek, tkał mi go do rąk, powtarzając:

— „Christa radi... Christa radi..“ (Dla Chrystusa).

Mimowolnie cofnąłem się i wybąkałem zdziwiony i zalekniony:

— Przepraszam... nie przyjmuję...

Nie wiem, co sobie owi prości ludzie pomyśleli, dość, że i oni się cofnęli, a za chwilę posłyszałem głos Anisimowa: — Polak...

W ten sposób pragnął mię zapewne usprawiedliwić.

I znowu drzwi celki zamknęły się za mną.

Wypadek ten wstrząsnął mną trochę.

Nazajutrz Bułharyn wytłumaczył mi wszystko. Bogaci kupcy moskiewscy mają ten zwyczaj, że co rok przeznaczają pewną kwotę do rozdania więźniom, uzyskują pozwolenie generał-gubernatora na rozdawanie tej ofiary osobiście, a wówczas, w towarzystwie naczelnika więzienia, udają się do cel więźniów i rozdają jałmużnę. Taki wypadek mnie się zdarzył. Powiadano mi później, że zachowaniem się swoim obraziłem litościwego człowieka. Być może, ale i sam czułem się tu do pewnego stopnia obrażony; gdyż nasze pojęcia współczucia i litości bardzo odbiegały od siebie. Niższa i średnia warstwa społeczeństwa rosyjskiego dotychczas zapewne nigdy w więźniu nie widzi innego człowieka — nie wykluczając największych zbrodniarzy — jak tylko „nieszczęśliwego“. Jest to może bardzo wzniosłe, bardzo charakterystyczne; ale nieszczęście nasze wypływa ze źródła tak mało dostępnego i zrozumiałego litościwym ludziom rosyjskim, że obraza nasza była obopólna: kupiec obraził się, że nie wziąłem pieniędzy, a ja, że mi je dawał.

Nie pamiętam, jak długo siedziałem na wspólnym korytarzu z Bułharynem, ale mam takie wrażenie, że dłużej nad kilka tygodni to nie trwało. Przeniesiono mnie do innego korytarza, o piętro niżej, a tu było nam wszystkim o wiele lżej i wygodniej. Na tym korytarzu siedzieli, kolejno od drzwi wchodowych: Kuczyński, Ciagliński, Olszański, Przewłocki, ja, Piasecki i Czerkies, zdegradowany kapitan; było nas zatem siedmiu.

Ciagliński i Olszański odsiadywali karę za manifestacje z r. 1862. Ciagliński kończył wydział matematyczny uniwersytetu kijowskiego i w więzieniu przygotowywał się do ostatniego egzaminu; Olszański był podobno bratem rodzonym młodszym lub stryjecznym rozstrzelanego Romualda, gdyż przypominam sobie, że po wyjściu z wię-

zienia byłem z nim razem w domu Olszańskich na ulicy Małej Włodzimierskiej.

Kuczyński był bardzo zagadkową osobistością. Zdaje się, że prawdziwe jego nazwisko było Kozłowski. Należał podobno do bardzo dobrej rodziny w Królestwie, ale, jak opowiadano, coś zbroił i starym szlacheckim zwyczajem na Ukrainę umknął. Nie było jednak już ani Zaporozża, ani Dzikich Pól.

Przyłapano go w Kijowie. Pragnąc ukryć swoje nazwisko, zmyślił jakąś amerykańską wyprawę, udawał syna emigranta, a to wszystko wyszło mu na gorsze. Rząd rosyjski brał go za jakiegoś ważnego emisariusza i męczył już przeszło dwa lata w więzieniu. Był to człowiek dość wykształcony, gładki, doskonale znał język francuski, ale zbiedzony i rozgoryczony.

Przewłocki był eks-obywatelem ziemskim z Wołynia czy Podola; przywędrował z Żytomierza ciupasem do turmy kijowskiej i tu go z powodu choroby zatrzymano. Żona i córka, ładna 16 letnia szatynka, wędrowały z nim razem. Zamieszkały w Kijowie i dojeżdżały do więzienia kilka razy tygodniowo. Przewłocki był człowiekiem starszym, około 60 lat, może trochę mniej, ale zbiedzonym i schorowanym, a w dodatku, skutkiem ciężkich podróży etapowych, zaziębił się i głos stracił zupełnie. Mimo wszystko wysłano go. Mieliśmy wiadomość przez pocztę etapową, że w drodze umarł. Kości nasze i groby znaczą już oddawna drogę sybirską.

Piasecki, eks-kapitan jazdy, siedział za sprzeniewierzenie pieniędzy skarbowych, danych mu na kupno koni. Karciarzem pozostał.

W ostatniej, końcowej celce siedział Czerkies, oficer zdegradowany, a nazywał się bardzo skromnie: Sałaly-Kumyjskij Bammat-Aldar Szamchał-Izmał Bułat Aczekan, ani mniej, ani więcej. W skróceniu nazywał się z rosyjska Izmał Bułatowicz Aczekanow. Był to dziwny i nieszczęśliwy człowiek. W czasie walk na Kaukazie żołnierze ro-

syjscy napadli na jakiś auł — i oczywiście wyróżnili wszystkich. Jakimś cudem pozostał chłopaczek około 10-letni, był to właśnie Aczekanow. Żołnierze zlitowali się tedy nad dzieckiem i nie zarżnęli go wraz z ojcem i matką, ale zabrali do Petersburga i oddali do korpusu paziów. Hodowano tam pewnego rodzaju janczarów. Był to mężczyzna piękny w całym tego słowa znaczeniu, ale typowy Czerkies. Ubrany w bogaty strój narodowy, błyszczący od srebra i złota, obwieszony jataganami i pistoletami, prezentował się świetnie. Wielka czarna broda, regularne i piękne rysy twarzy, ozdobione czarnymi, błyszczącymi oczyma, — wszystko to razem wzięte zwracało na niego uwagę, osobliwie płci pięknej. Miał swoich wielbieli, a co ważniejsza, jak się później pokazało, i wielbicielki. W zimie paradował w orszakach cesarskich i rozmaitych księząt, w lecie na ćwiczenia kawaleryjskie wyjeżdżał w stepy humańskie. I tu go właśnie spotkała przygoda, która go do więzienia zaprowadziła. W czasie gry w bilard pokłócił się z kolegą, którego uderzył kijem bilardowym; stąd pojedynek. W pojedynku zabił przeciwnika. Wyzwał go brat zabitego — i ten padł. Oczywiście aresztowano Aczekanowa i trzymano go w areszcie śledczym wojskowym. Tu pułkownik wszedł mu w drogę. Chociaż aresztowany, Aczekanow miał bardzo lekkie więzienie: chodził, gdzie chciał, na wizytach bywał — i na przegląd wojska poszedł. Przyszło do jakiejś przymówki z pułkownikiem. Aczekanow, niedługo myśląc, rzucił się na niego z kindziałem. Rozbrojono go i osadzono w ściślejszem więzieniu. Skazano łagodnie: na cztery lata rot aresztanckich. Ale i tu protekcja damska zdołała tyle uczynić, że po bardzo krótkim czasie, jako niezdolnego do pracy, osadzono go w więzieniu cywilnem dla odsiedzenia kary.

Tu miałem sposobność poznać Izmaila Bułatowicza. Nosił się on po czerkiesku, tylko bez kindziałów i pistoletów. Ale jeden strój czerkieski posiadał osobliwie piękny — tyle było w nim błyskotek srebrnych i złotych.

Otóż strój ten nieraz bywał dla niego przedmiotem wielkiego zmartwienia.

Korytarz nasz, z którego widok był na pole, zamykano zawsze, cele natomiast były otwarte, zamykano nas chyba w razie jakiejś nadzwyczajnej urzędowej wizyty. Widywaliśmy się ze sobą tedy zupełnie swobodnie, do tego stopnia, że żona i córka Przewłockiego przychodziły odwiedzać ojca. Normalnie odwiedziny odbywały się w wartowni, izbie oficerskiej — drogą łaski, a urzędowo w osobnym, do tego celu urządzonym wielkim pokoju. Opiszę to urządzenie. Wielki czworoboczny pokój był przedzielony pośrodku korytarzem około dwóch metrów szerokości. Ściany tego korytarza do połowy wysokości człowieka były oszalowane grubymi deskami, a następnie aż do sufitu posiadały grube drewniane kraty, tak gęste, że ledwie dłoń można było przez nie przesunąć. Do tej rozmównicy wiodło dwoje drzwi: jednymi wpuszczano przybyłych, a drugimi wprowadzano więźnia. Korytarz zakratowany dzielił rozmawiających. Rozmowie asystował naczelnik więzienia albo oficer dyżurny, którzy też przestrzegali godziny dozwolonej — najczęściej pół godziny tylko. To zagłądanie do siebie przez kraty miało coś przykrego i upokarzającego, tak że ja osobiście raz tylko z tego dobrodziejstwa korzystałem. Rozmowa w takich warunkach sprawiała więcej zawsze wstrząśnienia obu stronom, niż przyjemności z wzajemnego oglądania się przez kraty i wymiany kilku banalnych frazesów.

Życie w zamkniętym korytarzu układało się nadzwyczaj jednostajnie; o tyle bywało urozmaicenia, o ile zmieniali się ludzie. Zamknięcie w bezczynności jest może największą męczarnią, jaką wymyślić można dla człowieka. Energja życia, skrępowana i zamknięta w czterech ścianach, szuka dla siebie instyktownie jakiegoś wyładowania, jakiegoś zajęcia dla myśli. Wprawdzie wolno nam było czytać książki, ale tylko z biblioteki więziennej, w której książek kupionych nie było, lecz dary przypadkowe. Je-

dyną książką, którą z biblioteki otrzymałem, była francuska broszurka o Karlsbadzie z końca XVIII wieku, traktująca pokrótce historję odkrycia źródeł, stronę ich leczniczą, wyliczająca znakomitych gości, szukających tu zdrowia, i poezje na cześć ich pisane. Inne książki musiały przechodzić długą drogę cenzury urzędowej i tak rzadko dochodziły, że w ciągu półrocznego swego wypoczynku w „Zamku“ nie zdołałem ani jednej otrzymać. W czasie transllokacji odebrano mi nawet gramatykę włoską. Kuczyński posiadał tylko tom wielki w dwie szpalty utworów Walter-Scotta w przekładzie francuskim. Aby coś przecieź robić, zacząłem wraz z Kuczyńskim z przekładu francuskiego Walter-Scotta robić przekład polski. Inni grywali w karty. Gra odbywała się przeważnie w nocy, bo wtenczas nie było obawy, ażeby kto na korytarz zaglądnął, — chyba nowego więźnia przyprowadzono, ale i to zwykle w dzień się działo. Namiętymi karciarzami byli Izmał Bułatowicz i Piasecki. Dotrzymywał im towarzyswa jeszcze jeden, o którym zapomniałem wspomnieć, Jackowski.

Był on synem ekonoma mego wuja, rzucał się na różne drobne spekulacje cukrownicze, które, kończąc się szczęśliwie, były dla niego zachętą niejako do dalszych kroków na tem polu. Długo wiodło mu się pomyślnie, aż nareszcie powinęła się noga i za długi poszedł do więzienia.

Otóż ta trójca co noc namiętnie grała w sztos. Oczywiście, ponieważ wszyscy byli goli, więc gra szła o kopiejki, niemniej wszakże bywała gwałtowną i namiętą, jak gdyby szło o miljony. Szczególną zawziętością odznaczał się Piasecki i Aczekanow, do tego stopnia, że Izmał przegrywał do Piaseckiego wszystko, co tylko miał, nie wyłączając najpiękniejszego swego czerkieskiego ubrania i srebrnego pasa. Przegrywał literalnie wszystko, tak że nazajutrz zjawiał się na korytarzu w więziennym chałacie, rotmistrz natomiast, ustrojony w najjaskrawsze ubranie

czerkieskie, paradował po korytarzu. Ale szczęście ludzkie bardzo krzywemi drogami chodzi. Izmań Bułatowicz, uwiłajając się po korytarzu z rotmistrzem, gładził brodę i uśmiechając się złośliwie, mówił:

— Nie chełpcie się! nie chełpcie się!

Przyszła noc — i znowu zasiadali do sztosu. Aczekanow miał rację: po kilku dniach ukazywał się on znowu w najparadniejszym swoim czerkieskim kostjumie, a Piasecki w chałacie. Ta ich namiętność była dla nas, patrzących zubocza, i widowiskiem i rozrywką.

Ponieważ namiętność do gry Aczekanowa i rotmistrza nie była pozbawiona śmiesznych stron, nieraz urządzaliśmy złośliwe żarty, aranżując udane przegrywanie ze strony rotmistrza. Wówczas w pokoju Aczekanowa zasiadali do stosu Jackowski i Piasecki i udawali, że grają zapamiętałe, a do celki nie wpuszczali nikogo. Ten i ów zaglądał przez otworek, patrzył i odchodził. Aczekanow biegał i kręcił się niespokojnie.

— Jakże... jakże... idzie? — pytał co chwila.

— Rotmistrz przegrywa.

Aczekanow zacierał ręce.

— Tak mu... tak mu... się też należy!

Cisnął się do okienka i patrzył. Widział kupy ubrania przed Jackowskim; odskakiwał od okna, śmiał się z pokonanego przeciwnika.

Wtem rotmistrz wyleciał jak oparzony z celi i do swojej pobiegł, ażeby resztki ubrania zabrać. Łapał go po drodze Aczekanow.

— No... jakże idzie?

— Żle! wszystko poszło!

Aczekanow gładził go po plecach, złośliwie pocieszając:

— Nic nie szkodzi... to nic.

Po godzinie takiej komedji wychodził tryumfalnie z celi rotmistrz, niosąc wszystkie graty do siebie.

Zaskakiwał mu drogę znowu Aczekanow.

— No, cóż?

— Odegrałem się — odpowiada spokojnie rotmistrz.

— Zagramy jeszcze?

— Dobrze.

I zasiadali znowu, jak przyjaciele, do sztosu.

Takie było codzienne życie. Rozmaitość następowała tylko co środa. Wówczas przychodziła partja więźniów z Żytomierza, przez czwartek odbywała tak zwaną dniówkę w Zamku, a w piątek wędrowała dalej na Sybir.

Wprowadzano zwykle taką partję najprzód na mały dziedziniec, dotykający kancelarji i mieszkania naczelnika, oddzielony murem od dziedzińca więziennego. Tu odbywało się przyjęcie i ekspedycja.

Konwojujący oficer musiał oddać, względnie odebrać od naczelnika „bumagi“ (bez „bumagi“ w Rosji człowiek jest niczem); trwało to półtorej do dwóch godzin, a w tym czasie zesłańcy stali z tobołkami, otoczeni żołnierzami, i oczekiwali zakończenia formalności. Potem prowadzono ich z taką samą paradą do wielkiej celi o dwóch oknach, mającej może dziesięć do piętnastu metrów kwadratowych.

W takiej celi, nazywanej urzędownie „kamerą“, oprócz nar drewnianych nic więcej nie było. Brud był tutaj tak wstrętny, że obrzydliwości, a przynajmniej wrażenia tego, opisać niepodobna. Ściany były czarne i okopcone, podłoga była jednolitą masą wysuszonego błota, które zasychając tworzyło powierzchnię chropowatą ciemno-popielatego zabarwienia. Smród o charakterze nie dającym się określić, z jakim tylko w więzieniach rosyjskich zetknąć się można, dopełniał tej obrzydliwości, jaka ogarnąć musiała każdego, kto się z tą izbą zetknął.

Tu wpuszczano całą partję, nie troszcząc się już o nic. W jednym kącie stała odkryta beczka z wodą, w drugim takiej samej wielkości kubeł, zwany „paraszą“. Każdy lokował się, gdzie mógł, gdzie mu los pozwolił, i zmęczony padał na ziemię lub na nary.

W takich warunkach odbywał się odpoczynek, czyli dniówka.

Gdyby w Rosji nie istniały kubany i litość, należałoby je sztucznie stworzyć, gdyż bez tego ludność zmarniałaby i znikła doszczętnie. „Łapówka“ i miłosierdzie łagodzą dzikość prawa i biurokracji.

Pomiędzy więźniami, a raczej skazanymi już, przechodzili ludzie, budzący niewypowiedziane współczucie: chorzy, ranni, osłabieni, wyczerpani niewygodami i nędzą. Nieraz, dowłókłszy się zaledwie na dziedziniec więzienny lub do kamery, padali na ziemię, na podłogę, na nary, gdzie kto mógł. Bo i to trzeba dodać, że każdy dźwigał na sobie kajdany w ten sposób, że obie nogi miał okute, a środkowa część łańcucha, zawieszona na sznurze lub pasku rzemiennym, płącząc się między nogami, łączyła się z paskiem okalającym biodra. W ten sposób kajdany umożliwiały powolne chodzenie, połączone z brzękiem i zgrzytem. Dolne ramiona kajdan posiadały szerokie bransolety żelazne, złożone z dwóch połówek, które obejmowały nogę nieco powyżej dolnego stawu. Po nałożeniu kajdan obie połowy bransolety łączyły się nitami żelaznymi, do czego posiadały odpowiednie otwory, i gwoździe zaklepywały się na zimno. Codziennie sprawdzać była powinna władza odnośna, czy kajdany są w porządku.

Ażeby tym biedakom w czemkolwiek ulżyć, gdy partja przychodziła, zjawialiśmy się we dwójkę lub we trójkę na mniejszym (pierwszym od bramy wchodowej) dziedzińcu i po dokonanej formalności odprowadziliśmy do kamery, przeznaczonej na dniówkę. Jak owa kamera wyglądała, wspomniałem pokrótce. Chorych lub osłabionych podróżą zabieraliśmy do swoich celek na cały dzień. Na noc musieli wracać do wspólnej kamery. Po przyprowadzeniu pierwszą czynnością było rozbijanie kajdan rządowych i nakładanie lekkich. Nie brak było fabrykantów, którzy takie kajdany według wzorów urzędowych wyrabiali i drogo sprzedawali. Jedyną ich zaletą była lekkość.

Ażebymy takie lekkie kajdany nałożyć, trzeba było przede-
wszystkiem zdjąć stare. Czynności tej dokonywało się
bardzo prymitywnie, zapomocą dwóch kamieni i wielkiej,
ale cienkiej miedzianej monety, zwanej trzy grosze. Obe-
cnie już jej oddawna w kursie niema. Miała ona wartość
co najmniej, jak sądzę, podwójną i dlatego kotlarze wy-
łowili ją doszczętnie. Otóż pierścień, otaczający goleń,
dotykał jej trochę luźno, gdyż zwykle między żelazo
a nogę wkładano kawałki miękkiej skórki, ażeby tarcie
zmniejszyć, chociaż i pomimo to nie było prawie nikogo,
ktoby nie miał nóg okaleczonych od kajdan. [Rozbijanie
odbywało się w ten sposób, że od dołu, pod szparkę,
gdzie się łączyły połowy żelaznego pierścienia, podkładano
kamień, o kamień opierano sam pierścień, a od góry
w szparkę wciskano ów trojak. Kilkakrotne uderzenie tro-
jaka z góry drugim kamieniem rozluźniało nity i obie po-
łowy pierścienia rozchodziły się, a goleń stawała się wolną.
Chodził taki biedak półtora dnia bez kajdan, a przed wy-
marszem nakładano mu nowe, kupne, lekkie. Stare, rzą-
dowe, wrzucano oczywiście do wychodka. Było to jedyne
miejsce, gdzie wrzucić można było bez kontroli i bez
wiedzy straży więziennej.

Po tej dopiero operacji nastawiano samowar, a przy
herbacie i zakąsce, którą zawsze przynosiły panie z miasta,
zapominano o więzieniu, kajdanach i Sybirze. Opowia-
dano szczegółowo o wálce przebytej, o więzieniu, o prze-
szłości. O przyszłości tylko nie mówiono; nikt jej do-
tknąć nie mógł w ciemniach jutra.

Po wyprowadzeniu jednej partji czekaliśmy na drugą,
i tak upływały dnie jednostajnie i smutno.

W jednej z partyj letnich przybył drogą Żytomierską
bardzo zbiedzony i schorowany więzień — Pusłowski.
Imienia nie pamiętam, nazwisko zapamiętałem dzięki nie-
zwykłemu zdarzeniu z niem związanemu. Był, jak mówił,
obywatelem ziemskim, któremu za udział w powstaniu
majątek skonfiskowano — rzecz zupełnie prawdopodobna.

Mógł mieć około trzydziestu kilku lat, ale skóra i kości. Niewielkiego wzrostu, szczupły, wąty, nogi jak patyczki, tak że zdawało się, kajdany, które nosił, grubsze były od goleni jego. Zameldował się zaraz do szpitala i kilka tygodni tam przebył. Ktoś tam za murami więzienia kołatał za nim. Wróciwszy trochę do sił, przychodził często do nas.

Ale przyszła kreska na Matyska. Lekarz więzienny oświadczył, że Pusłowski w podróż udać się nie może. Teraz dopiero na jaw wyszła — miłość. W szpitalu była siostra miłosierdzia, o ile sądzić można było, dobrze wyżej trzydziestki, Rosjanka, z którą z konieczności stykaliśmy się. Mówiła po polsku, zdaje się, że miała matkę Polkę. Była to brunetka szczupła, słuszną, górującą nad przyszłym swoim zdrowiem i siłą. Musiało być w tej miłości trochę uczucia, bo pobrali się i powędrowali na Sybir. Co się z nim stało? nie wiem. Ślub odbył się w cerkwi więziennej, a nazajutrz ruszyli w drogę.

* * *

Jednostajnie upływały mi dni długiej jesieni i zimy. Nareszcie na dwa dni przed Bożem Narodzeniem roku 1864 usłyszałem znany sakramentalny wyraz:

— Wybieraj się pan!

Zebrałem garść tego, co posiadałem, i ruszyliśmy w drogę wprost do biura politycznej sekcji, t. zw. Łybedzkiej, która wówczas mieściła się na rogu Wielkiej Wasylkowskiej i Żytomierskiej. Tu mi oświadczone, że mam być oddany za poręką.

Długo trwała ta operacja, smarowana rozmaitemi kubanami. Nie będę tych obrzydliwości opisywać. Dość, że przed samem Bożem Narodzeniem 1864 roku znalazłem się w domu.

Oto jest krótka odyssea długich, ciężkich dni, smutnych doświadczeń i wrażeń, a równocześnie wzmocnienia się uczuć i siły narodowej.

Po wyjściu z więzienia.

Po wyjściu z więzienia za poręką wałęsałem się czas jakiś bez zajęcia. Należałem do tej kategorii ludzi, a raczej młodzieży, która po roku 1863 została pozbawioną możliwości dalszego regularnego kształcenia się. Powrót do szkoły był zamknięty. Wniosłem podanie do rektora uniwersytetu, ażebym mógł uczęszczać jako wolny słuchacz na wydział prawny, z obowiązkiem złożenia przepisanych egzaminów i z zaliczeniem przebytych semestrów. Napłynęła już nowa fala młodzieży z prowincji. Jednym z tych był Zenon Sawaniewski, który zamieszkał u nas jako korepetytor młodszego brata mego, drugim był Polański którego imienia nie pamiętam, trzecim Milatycki. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Sawaniewski był dobrym kolegą, wesołym, lubił śpiew i kobiety. Poważniejszym od niego był Polański, straszny biedak. Temu także, dla jakichś powodów, nie pozwolono na regularne odbywanie nauk w uniwersytecie. Po naradzie z nimi postanowiłem, zanim pozwolenie otrzymam, chodzić na wykłady pierwszego roku wydziału prawnego bez pozwolenia. Kontroli nie było żadnej. W ten sposób przez dwa semestry słuchałem wykładów z ekonomji politycznej Ciechanowieckiego, statystyki Bungego, późniejszego ministra skarbu, encyklopedji prawa Rennenkampfa, zdaje się prawa cywilnego Demczenka, a równocześnie zaglądałem dość często na wykłady literatury prof. Selina i in.

Na wiosnę 1865 Polański dostał miejsce nauczyciela prywatnego w jakimś szlacheckim domu na Wołyniu i do Kijowa przyjechał, zaopatrzony w pieniądze, których mu zwykle bardzo brakło. Sawaniewski namówił nas, abyśmy poszli do restauracji, która była przy zbiegu ulic Elisawetyńskiej, Szulawskiej i Wielkiej Wasylkowskiej. Był to duży parterowy budynek. Zaczęliśmy grać w bilard. Sa-

waniewski, najodważniejszy z naszej trójki, wyszperał, że za salą bilardową w dziedzińcu są pokoje, gdzie grywają w sztos. Była to gra hazardowna, bardzo nieskomplikowana. Trzymający bank — zwykle szuler dobrze wytresowany — miał w rękę pełną talję kart. Amator przegrania — bo wygrywało się rzadko — wybierał jaką kartę z własnej talji i kładł ją na stole, odwróciwszy wierzchem do góry i nakrywszy nią pewną kwotę pieniężną. Pierwsza karta z odkrytej talji należała do bankiera, druga do ponitera. Wykładanie kart na lewą i prawą stronę odbywało się dopóty, aż karta ponitera padła na stronę bankiera lub jego. Pomijam dalszą terminologję gry, której zresztą dobrze nie znam i nie pamiętam, gdyż zarówno w sztos jak i w inne gry, nawet w bezika, nie grywam wcale.

Do tej spelunki zaprowadził Sawaniewski Polańskiego. Grając w bilard, nie wiedziałem nawet, co się dzieje w pokojach, gdzie grywano w karty. Po godzinie może przychodzi Polański blady, zdenerwowany, niespokojny.

— Zgrałem się — powiada — doszczętnie.

Byłem w tych sprawach tak samo biegłym, jak i on. Ratunku nie widziałem żadnego.

— Trzeba odegrać się — zachęca Sawaniewski.

Nie miałem pojęcia o tem, że odgrywanie się oznacza przegraną w dalszym ciągu.¹

Sawaniewski powiada energicznie:

— Złamać szczęście!

Polańskiemu podobała się ta myśl.

— Mam jeszcze dziesięć rubli — mówi z rezygnacją.

— Daj mnie — powiada Sawaniewski, — spróbuję szczęścia.

Polański zawahał się. Może nie wierzył w „łamanie szczęścia“.

— Nie będę miał o czem wrócić na wieś — rzekł.

Sawaniewski, zawsze ryzykant, zachęcał dalej:

— Głupstwo! Poradzimy!

Polański zdecydował się zaryzykować ostatnie pieniądze, ale zawahał się dać je Sawaniewskiemu.

— Idź ty grać! — mówi do mnie.

— Zmiłuj się, ja nigdy nie grałem — bronię się.

— Temi lepiej — zachęca Sawaniewski — szczęście zawsze fuzzerów się trzyma.

Pokonany temi argumentami, biorę pieniądze od Polańskiego i we trójkę idziemy do pokojów, gdzie grano w karty.

Doświadczeni w szulerskim rzemiośle draby i te ostatnie dziesięć rubli zabrali w pięć minut, widząc, że z frycami mają do czynienia.

Polański wyjechał z Kijowa. Wiem, że był w Dorpacie, a potem belferował w niemieckich szkołach w prowincjach Bałtyckich.

Dalsze losy Sawaniewskiego były bardzo urozmaicone. Uniwersytetu nie skończył, ale mając niezły głos, został śpiewakiem drugorzędny i na różnych scenach w Kijowie i we Włoszech występował. Podobno życie tam zakończył.

Rok cały mieszkalem z nim razem i razem bajdykowaliśmy. On do uniwersytetu chodził rzadko, czesnego nie płacił, bo to, co otrzymywał z domu, zawsze przeputał, a między innymi i z tego powodu z liczby słuchaczy wykreślono go podobno.

Co do mnie, tułałem się przez dwa semestry między jednym fakultetem a drugim, aż wkońcu sekretarjat, zasięgnąwszy wiadomości o mnie trochę w policji, a trochę w kancelarji jenerał-gubernatorstwa, gdzie koncentrowały się sprawy tak zwane polityczne, zwrócił mi podanie i papiery bez żadnej odpowiedzi. Był to wyrok, który mnie pchnął na inną drogę.

Z kolegów więziennego towarzystwa spotykałem się tylko z Olszańskim — imienia nie pamiętam. Utykał na jedną nogę. Słyszałem, że Kamiński oparł się podobno w Połtawie, Ciagliński podobno na Kaukazie, Olszański czas jakiś mieszkał w Kijowie. Nie wiem, w jakim stopniu

pokrewieństwa był z Romualdem Olszańskim, rozstrzelanym w Kijowie; ale z nim razem (on mnie zaprowadził) w domu rodziców Romualda byłem dwa razy.

Olszańscy mieli swój dom na ulicy Małej Włodzimierskiej, drugi czy trzeci dom od rogu, z prawej strony, idąc od uniwersytetu w dół Małą Włodzimierską. Od ulicy był to dom obszerny, jeśli się nie mylę, o siedmiu oknach i posiadał głębokie sutereny z oknami, wychodzącymi na chodnik. W głębi dziedzińca, na wzgórk, takie mam wrażenie, bom chodził tam zawsze wieczorem, były ofi-cyny, niewielki domek, gdzie mieszkali starzy Olszańscy.

Wiedzieli o tem, że siedziałem w Okrągłej Baszcie wtenczas, gdy Olszańskiego miano zabrać na egzekucję, że to ja byłem tym, który rozmawiał przez kraty z nieznanymi mi kobietami. Z tego powodu byłem dla nich może ciekawy. Olszański zaprowadził mnie do nich.

Gdym wszedł po raz pierwszy, zastałem tylko jedną osobę. Pokój był duży, niedostatecznie oświetlony jedną lampą, stojącą na owalnym stole przed kanapą. W głębi pokoju po rogach błąkały się cienie. Na kanapie siedział stary człowiek, który na moje powitanie nie powstał, nad czołem miał wielki zielony daszek, który mu oczy i połowę twarzy zakrywał zupełnie. Miał chłodną, poważną, spokojną postawę. Z bocznych drzwi, po prawej stronie od kanapy i stołu, po chwili weszła stara kobieta, trzymając w ręku talerz, na którym leżało jajko i łyżeczka.

Olszański przedstawił mnie.

Zdaje mi się, że to była matka Romualda.

Postawiła przed staruszką talerz z jajkiem. Stary siedział nieruchomo. Twarzy jego nie widziałem dobrze.

Olszański powtórzył, kto jestem. Stara kobieta westchnęła milcząco. Zwróciła się do siedzącego na kanapie:

— Przyniosłam ci jajko.

Skinął bez słowa głową.

Zawiązała się rozmowa na temat więzienia. Opowiedziałem tych kilka szczegółów, o których już tu wyżej

pisalem. Wysluchali ze spokojem rezygnacji. Kobieta nie powiedziala ani slowa. Spozrzeglem tylko, ze twarz miala bardzo bladą. Bolesć juz minęła, pozostał tylko smutek. Tak dziś po pięćdziesięciu przeszło latach mogę określić wrażenie, jakiego wówczas doznałem. O powstaniu, o następstwach, jakie spadły na Polaków, ani słówka. Wogóle atmosfera mojej wizyty była bardzo przygnębiająca. Miałem wrażenie, że jakiś ciężar wisi nad nami, że coś się w głębi duszy kotłuje i — milczy.

Jajko na talerzu leżało nieporuszone.

Wyszliśmy razem z Olszańskim.

Mieszkał on w suterrenach domu, o którym już mówiłem. Przystąpiwszy kilka schodków, znaleźliśmy się w ciemnym korytarzyku, w którym było kilkoro drzwi, prowadzących każde do innego pokoju. Były to kawalerskie mieszkania studentów, miejsce — jedno z miejsc raczej — schadzek i spiskowania młodzieży, która organizowała powstanie. Zapał był duży, doświadczenia mało, bardzo mało.

Weszliśmy do jednego z tych pokoi, który, jak mi się wydawało w ciemności, miał drzwi prawie wprost schodów. Zwykle kawalerskie mieszkanie, którego opisywać nie będę.

— Tu się robiło powstanie — zauważył Olszański.

Domyśliłem się, o co chodzi.

— Tu obliczaliśmy nasze siły — dodał po chwili.

Na dowód tego pokazał mi na drzwiach spisy różnych nazwisk. Tylko bezbrzeżna naiwność policji rosyjskiej mogła chyba nie widzieć tego. Powiadają, że rząd rosyjski rozmyślnie pozwolił wyjść młodzieży kijowskiej z bronią w rękę, ażeby później za jednym uderzeniem rozrzuć gniazdo niepożądaney agitacji. Wątpić należy.

Nie wiem, co się z Olszańskim stało.

Z Dobrowolskim spotkałem się raz jeden tylko w życiu. Było to w Genewie, w roku 1885, w mieszkaniu Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża).

Byłem w salonie, gdy Jeż na górze w swojej pracowni, gdzie często przyjmował wizyty mężczyzn, rozmawiał z kimś właśnie. Po pewnej chwili zszedł do salonu w towarzystwie jakiegoś pana. Był to mężczyzna, jak mi się zdawało, około pięćdziesięcioletni, prawie łysy, z szczytkami płowych włosów na bokach i z tyłu, o dość niespokojnym, ruchliwym spojrzeniu, okrągłej, szerokiej, pełnej twarzy.

— Poznajesz? — pyta Jeż, zwrócony do mnie.

Wpatrzyłem się. Spojrzenia nasze spotkały się.

— Nie — odpowiedziałem.

— Doliwo-Dobrowolski z Kijowa.

Zostawił nas samych. Może myślał, że wiele mamy do gadania, a nie mieliśmy nic, oprócz przygody, za którą odpokutowałem. Dowiedziałem się tylko, że był skazany na Sybir, z drogi umknął i mieszka stale we Francji. Był podobno komisantem od sprzedaży wina i w tym celu podróżował.

Rozstaliśmy się dość chłodno na zawsze.

Dziwnym zbiegiem wypadków spotkałem się w r. 1883, także w Genewie, z Władysławem Szaramowiczem, ale to spotkanie — bardzo przykre — opiszę chyba w innej kategorii wspomnień, już nie kijowskich.

KONIEC.

JAK ONI UMIERALI...

Relacja według opowiadań naocznego świadka, księdza Olędzkiego, z jego ust spisana.

Roku smutny! Ile ty łez pochłonałeś, ile krwi! ile mienia, długowiekowego dorobku historycznego, rozdrapały pazury moskiewskie — może na zawsze... Ile ruiny po tobie zostało, ile nienawiści wylało się na ciebie z hajdamackich dusz Włodzimierzów Antonowiczów, Poznańskich, Rylskich, Szulginów, Awasiejenków, Iwaniszewów, Józefowiczów! Ile śliny wyrzucili na ciebie rozmaici renegaci i im podobni, ilu zbłąkanych współbraci, jak Awejdenni, rzucało na ciebie błotem i myślami, ukutemi w kuźniach polityki moskiewskiej; ile razy pyszałkowaty egoizm Stańczyków bolał nad tem, że byłeś „pełen błędów i win“!

A jednak w dziejach naszych ty jesteś i będziesz wielkim rokiem, rokiem nadziei, rokiem walki o prawa sprawiedliwość, a uczciwy historyk zapisze cię jako dobroć narodowy, bo nie o chleb powszedni walczyli starzy i młodzi, nie o dobro materialne, jak narody kupieckie, lecz za wolność i lepszą przyszłość kładli swoje głowy.

Dziś, w smutną dla nas rocznicę, myśl moja mimowolnie ulatuje ku stokom cytadeli kijowskiej, gdzie jedni po drugich kładli się do wiecznego spoczynku pod mogiłami bez

nasypów i krzyżów ci, którzy nie słowami, lecz czynem dowodzili miłości ojczyzny i wiary w przyszłość.

Ile razy jestem w Kijowie, idę zawsze ku tej stronie, gdzie złocą się krzyże Ławry Peczerskiej, ku cytadeli, która ma swoją historję krwią i łzami pisaną. Wszystko się tam zmieniło. Młodość moja, która deptała głuche ścieżki fortecy, wędrując pod osłoną bagnetów od więzienia do więzienia, znikła w burzy i pracy, a starość pochyla mię już do wiecznego spoczynku. Testament mój będzie bardzo krótki, ale taki, jak życie: niema zgody z wrogami naszymi! Wszystkie środki do walki są dobre tam, gdzie chodzi o odebranie utraconego największego dobra narodów: wolności.

Wszystko się w tej cytadeli zmieniło... Potrzeby cywilizacyjne ludzi zwały stare gmachy, zburzyły stare wrota forteczne, a tam, gdzie niegdyś jeżyły się bagnety szylwachów, biegną szerokie gościńce i leżą szyny elektrycznych tramwajów. Tak zniszczy kiedyś ludzkość, zdążająca ku lepszej przyszłości, wszystkie zapory despotyzmu i jak strumień, długo kępowany goblami, zdobędzie wolność i swobodę.

Niegdyś wiodły do Ławry Kijowskie wrota, a obok nich po lewej stronie stał niewielki, czworokątny budynek, t. zw. Kijowski odwach, gdzie dzień i noc zmieniała się warta. Dziś budynek ów stoi samotny, opuszczony, szyldwacha dawno niema, ale dotychczas spoglądają na ulice nisko osiadłe zakratowane okienka i migają do słońca porzewiałe kraty. Tylko, że przez nie nie wyglądają już głowy ludzkie, jak niegdyś, lecz pająk, gospodarz pustek, szeroko rozsnuwa pajęczynę. Zbudowano już lepsze więzienia... Głównego odwachu, dotykającego niegdyś ramieniem swoim wrót Czernihowskich, także już niema. Na tem miejscu stoi jeszcze kilka topoli piramidalnych i wysoko podnoszą swoje stare głowy, jakby pragnęły zajrzeć poza wał, do tego szerokiego przekopu, gdzie przed 37-miu laty kule moskiewskie

kładły jednego po drugim buntowników, walczących z hydrą, wykarmioną w niewoli. Całą ich winą było — że zostali zwyciężeni.

* * *

Pierwszy z kolei poszedł pod kule Zieliński, oficer od saperów, dowódca taraszczańskiego oddziału, na czele którego stał pod nazwiskiem Wola. Młody, przystojny, wesoly, rozumny, miał przed sobą taką przyszłość, jak Zyg. Sierakowski, Padlewski i inni. W czasie karnawału jeszcze, który jak echo przebrzmiał, bawił się, jak tylko młodość bawić się może, bywał ozdobą salonu generał-gubernatora (największa zbrodnia, której mu Moskale przebaczyć nie mogli), a osiemnastego maja — już nie żył. Zamieniał przyszłość, wesołe towarzystwo salonów, życie nawet, za walkę o wolność, chociaż wiedział, że walka bez nadziei.

Jeżeli będziesz kiedy, czytelniku, w cytadeli kijowskiej, pójdź drogą koło Ławry, koło dawnych biur kometanta, wprost przez wrota Czernihowskie, wiodące ku Dnieprowi. Zatrzymaj się na mostku, wiodącym od wrot przez przekop, czyli rów forteczny, okalający cytadelę pomiędzy dwoma nasypami, najeżonemi bastjonami, spójrz na prawo. O dwadzieścia do dwudziestu pięciu kroków od barjery, tuż pod ścianą nasypu, który będziesz miał przed oczyma, leżą oni — wszyscy — jeden przy drugim... Ziemia zrównana... ani mogiły, ani krzyża... bo to zbrodniarze i buntownicy, którzy marzyli o wolności. Przed kilkunastu laty jeszcze można było rozpoznać to miejsce, w którym spoczywają. Tam na szczerej glinie rosła uboga roślinność. Gdy dokoła bujna trawa strzelała do góry i tworzyła ciemno-zielonawy kobierzec, na tych miejscach rosły tylko paciorki Matki Boskiej i przytulały się ku ziemi blado-różowe kielichy dzwonek polnych, — dziś wszędzie trawa jednakowa, ani śladu zbrodni.

Zieliński, zdradzony przez kolegów Moskali, wiedział, co go czeka — nie trudno się było domyślić. A jednak nikt nie wierzył w to, ażeby miał zginąć.

Od niego począwszy, wszyscy skazani na śmierć ostatnią noc spędzali na tak zwanym „Kijowskim odwachu“, który był wstępem do cytadeli.

Nie wiem, dlaczego ten odwach wybrano, gdyż od Głównego było zaledwie kilkanaście kroków do miejsca tracenia. Ale tak było. Gdy wieczorem zjawił się w celi Zieleskiego ksiądz, więzień powitał go zupełnie spokojnie, a nawet wesoło:

— Aha... to już jutro koniec — rzekł.

Ksiądz począł go pocieszać.

— Nic nie pomoże... trzeba umrzeć — odpowiadał.

Ciągnęła się rozmowa wcale spokojna, jak gdyby to nie chodziło o śmierć.

Gdy ksiądz wspomniał o spowiedzi, o pojednaniu się z Bogiem, Zieleski przyjął tę wiadomość zupełnie bez trwogi.

— To dobrze... to dobrze, ojczy dobrodzieju... Jutro są moje imieniny, a ja zwykle spowiadałem się w wigilję imienin.

Wyspowiadał się przykładnie i przyjął Najświętsze Sakramenta. Gdy raniutko, ledwie szarzyć poczynano, posłyszał zgrzyt klucza w zamku, rzekł:

— To już po mnie... Nie odstępuy, ojczy, ode mnie aż do ostatniej chwili... Patrzyj na mnie — będę odważniejszy...

poszli...

Gdy orszak zatrzymał się w przekopie forticznym, a Zieleski stanął na tem miejscu, gdzie miał głowę położyć, zebrała się w kółko generalicja wojskowa i odczytano wyrok. Wyrok przyjął zupełnie spokojnie. Brzmiał on krótko: za sprzeniewierzenie się przysiędze i czynne wystąpienie przeciwko carowi skazuje się go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Słuchał tego wyroku z twarzą

spokojną i pogodną, jak gdyby nie o niego chodziło. Mógł być spokojnym, bo się nie sprzeniewierzył ani ojczyźnie własnej, ani obowiązkom. Ksiądz, wierny obietnicy, ani na krok go nie odstąpił aż do chwili, gdy go do słupa wzięto. Prosił, ażeby mu oczu nie zawiązywać, i życzeniu jego stało się zadość. Patrzył się do ostatniej chwili w twarz księdza i w lufy skierowanych do piersi karabinów.

Trąbki grały, echo uderzeń bębnow rozlegało się szeroko, płynąc górą ku miastu, dołem ku Dnieprowi, ale nie były w stanie zagłuszyć wzruszenia patrzących. Spokojna i zimna odwaga młodzieńca wstrząsała wszystkich, ciarkami przechodziła przez plecy. Sam naciągnął na siebie koszulę śmiertelną. Żołnierze, wydzieleni z szeregów dla dokonania egzekucji, nie mniej byli wzruszeni od oficerów.

Rozległy się strzały... i przy słupie zawisło ciało żyjącego jeszcze człowieka. Slesarewskij, adjutant na służbie, zbliżył się i do zbrozonego krwią kolegi z rewolweru w pierś strzelił. Był blady i ręka mu drżała, a nie miał odwagi, jak Potiebnia, zaprotestować przeciwko barbarzyństwu czynem. Widocznie w duszy jego tajny jakiś bunt odbywał się, bo gdy ustępowano z placu, rzekł głośno do wszystkich:

— Umarł, jak dzielny żołnierz powinien umierać!

Działo się to dnia ośmnastego maja starego stylu.

Potem kolej przyszła na Padlewskiego Władysława, ojca Zygmunta, i Rakowskiego Tadeusza. Padlewski był dowódcą niewielkiego oddziału, który miał z innymi połączyć się w większy. Nie połączył się, został rozbity — i oto wina. Nie zwyciężył, więc winien. Zupełnie tak samo rozumują nasi Stańczycy. Rakowski — Bogu ducha winien. Wykonał rozkaz wodza i kazał powiesić szpiega. Każdego złapanego żołnierza można rozstrzelać za to, że strzela do nieprzyjaciela i wykonywa rozkazy.

Padlewski był to typ szlachcica starej daty. Pięćdziesiątkę dobrze już przekroczył. Rakowski, młodzieniec 26-letni, jak syn przy nim wyglądał. Padlewski cały czas był

milczący. Chodził lub siedział ze spuszczonei oczyma, milczał i ciągle palił. Cały dzień nic nie jadł. Był to piątek. Dopiero wieczorem zdjął z palca ślubną obrączkę i wręczył księdzu.

— Proszę oddać żonie.

Gdy już szedł na śmierć, westchnął i rzekł:

— Może Pan Bóg naszą niewinną krew za ojczyznę przyjmie.

To były jego ostatnie słowa.

Rakowski z taką samą pogodą i spokojem śmierć witał, jak Zieliński.

Już w drodze do miejsca tracenia zwrócił się do księdza uśmiechnięty i rzekł żartując:

— Będę dziś na balu... ale bez fraka...

Wyroków wysłuchali spokojnie, bez protestów, bez żalów i skarg. Żaden ze skazanych słówka jednego nie powiedział, słuchając wyroku. Wierzyli w to, że historycy staną w ich obronie kiedyś i zaprotestują przeciwko dzikości barbarzyńców i niewolników carskich.

Równocześnie z Padlewskim i Rakowskim rozstrzelano także Platona Krzyżanowskiego, jednego z dowódców berdyczowskiego powstania, dobrego Polaka, ale prawosławnego.

Olszański Romuald zginął niesłusznie, nawet po moskiewsku słuszność rozumiejąc. Wprawdzie część młodzieży wyjechała konno z Kijowa z nim razem, lecz powstaniem kijowskiem nie on dowodził. Ale zginął.

Dużo i długo robiono starania, ażeby go ocalić. Rodzina jego budziła powszechną litość i dlatego też robiono wszelkie wysiłki, ażeby go ratować. Miał on siedmioro dzieci, a ósme było spodziewane. Z chwilą, gdy go ulokowano w Okrągłej Baszcie Prozorowskiego, w pokoju, w którym niedawno jeszcze przesiadywał Drużbacki, gdy do boku jego dodano żandarma — koniec można było z łatwością przewidzieć. Piszący te słowa siedział wówczas w parterze tej samej baszty w numerze dziewiętna-

stym, a później siedemnastym. Numery dziewiętnasty i dwudziesty były tuż pod kaźnią Olszańskiego. W nocy panowała nieraz taka głucha cisza, że przez murowane sklepienia słyszałem, jak się Olszański modlił. Może to słuch, zaostrozony ciszą, tak był czujny, ale niekiedy słyszałem pojedyncze wyrazy modlitwy. Długo siedział w Prozorówce, czekając na śmierć i doczekał się nareszcie.

Okienka naszego więzienia — na dole — były bardzo malutkie, zwykłe strzelnice forteczne, kratą jeszcze przegrodzone. A jednak do tej kraty przytulało się ciągle oczy i czoło, patrząc na pochyłość, staczającą się ku miastu. Pewnego dnia spostrzegłem, że daleko na owej pochyłości, nie strzeżonej już przez żadnych sztyldwachów, ktoś chodził. Potem nagle głos do mnie doleciał:

— Czy już przyprowadzili księdza?

Ponieważ każdy ruch w kaźni Olszańskiego słyszałem, odpowiedziałem: — Nie.

— Jutro będzie.

Niekiedy na tej samej pochyłości zjawiały się postacie kobiece — żona i matka Olszańskiego i natężając piersi do głosu, rozmawiały z górą.

Istotnie, na drugi dzień w nocy szelest jakiś zrobił się na górze, a przez nasze okienka, na korytarz wychodzące, rozległy się wołania:

— Po Olszańskiego poszli...

Zabrali go na odwach Kijowski.

Już to samo było wskazówką, jak się zakończy cała jego sprawa; a jednak Olszański nie tracił nadziei. Na odwach idąc, zabrał ze sobą wszystkie swoje pakunki, które miał do podróży na Sybir przygotowane. Noc całą przepędził na modlitwie. Klęczał bez przerwy — tylko kolano zmieniał. Mimo to ciągle spodziewał się ułaskawienia, tak wierzył w zabiegi przyjaciół i życzliwych sobie osób. Zdawało mu się, że z tego więzienia wprost powędruje z partją na Sybir. Rano począł robić przegląd pakunków. Pośród rozmaitych rupieci była świeca.

— Poco ci ta świeca? — zapytał ksiądz.

— Na etapie będzie nieraz potrzebna — odrzekł zupełnie spokojnie.

Po chwili zaskrzypiały rygle i do izby więziennej wszedł pomocnik komendanta Muśnickiego, generał Lewkowicz, a za nim matka Olszańskiego i córka. W powitaniu była rozpacz pożegnania. Płacz cichy, głęboki, rozdzierający duszę napełniał więzienie. Wszyscy czuli, że to pożegnanie ostatnie. Olszańskiemu żadna łza z oczu nie spadła. Na bladej jego, chudej twarzy siedział smutek, dla którego już niema pociechy. Wszyscy odczuwali tragizm chwili. Olszański pocieszał matkę, okrywając jej ręce i czoło dziecka niemymi pocałunkami. Ksiądz, patrząc na tę scenę pożegnania, płakał. Generał Lewkowicz stał bokiem do wszystkich zwrócony, a łzy duże spadały mu na mundur. Może to były najpiękniejsze łzy w jego życiu, bo pierwszy raz uczył, jak ciężką jest obroża carska i jak często, spełniając rozkazy, trzeba gwałcić w sobie wszystkie ludzkie uczucia.

Matka Olszańskiego, on sam, dziecko — wszyscy po kolei zwracali się do niego z prośbą, ażeby skazanemu pozwolił widzieć się z synem i żoną.

Lewkowicz zdławionym głosem powtarzał jeden wyraz tylko: — Nielział!

Nareszcie więzień upadł mu do nóg i błagał o zobaczenie się bodaj przez chwilkę z synem. — Nielział!

Nie pozwolono... i nic dziwnego. Gdyby ta chwila idącego na śmierć ojca była odbiła się w dziecinnej pamięci chłopca, stałaby się dla niego i dla innych latarnią, oświecającą duszę moskiewską i drogę Polaka.

Gdy nareszcie kwadrans, przeznaczony na widzenie się, minął i wszyscy opuścili więzienie, Olszański znowu ukląkł i modlił się aż do chwili wystąpienia na plac trącenia orszaku żałobnego.

Gdy oficer dyżurny zawiadomił go, że iść trzeba, powstał od modlitwy, ubrał się i poszedł w milczącym sku-

pieniu, z wiarą, że krew przelana za wolność nie ginie marnie.

Drużbacki Adam, aresztowany w chwili, gdy wioził papiery i pieczęcie Rządu Narodowego, był ślicznym mężczyzną o dużej czarnej brodzie. Dwa razy w życiu widziałem go. Pierwszy raz na Głównym odwachu, zdaje się w sierpniu 1863. Przechodząc przez wąski korytarzyk w kierunku ku dziedzińcykowskiemu odwachu, widziałem przez małe okienko we drzwiach z prawej strony żandarma zamkniętego na kłódkę. W przedsionku, w którym siedział, były drzwi na prawo i na lewo do więzienia. Oczywiście kogoś pilnowano tam bardzo starannie. Jakkolwiek sam byłem pod kluczem, ogromnie intrygował mnie ów niezajomy. Nie pamiętam, jakim sposobem dowiedziałem się, że się nazywa Drużbacki. Drugi raz, gdy siedział w Okrągłej Baszcie Prozorowskiego, widziałem go prowadzonego w asystencji żandarma i dwóch żołnierzy do indagacji. Przechodził wtenczas przez dziedziniec, a ja, znajdując się przypadkowo na korytarzu, widziałem go przez wielkie okna. Siedział wówczas w tym samym numerze, w którym potem Olszańskiego zamknięto.

Był to duch buntowniczy. Buntował się nie tylko przeciwko carowi, ale myślą zuchwałą targał się także na religję i kościół. Uznawał Biblię jako księgę mądrości, pozatem żadnej religji znać nie chciał i w objawienie nie wierzył. Gdy go ksiądz do spowiedzi i pokuty nawoływał, odrzekł mu szorstko:

— Czytaj mi, księżu, Biblię...

Ksiądz czytał, Drużbacki kazał mu odczytywać coraz inne ustępy — ksiądz czytał. Potem znowu starał się nakłonić go do spowiedzi.

— Nie chcę — odrzekł krótko. — Śmierci nie boję się; w życie przyszłe nie wierzę.

Zamiast o śmierci myśleć, prowadził z księdzem dysputy religijne. Ksiądz ciągle do spowiedzi go nakłaniał.

— Słuchaj — powiedział — wszyscy, którzy umierali przed tobą, spowiadali się; cóż o tobie ludzie powiedzą? Powiedzą chyba, że byłeś łajdakiem wielkiej ręki.

To go trochę otrzeźwiło.

— Nie będę spowiadać się tak, jak inni — odrzekł. — Będę przed tobą, księżu, opowiadać swoje życie, a ty słuchaj... potem zrób sobie, co zechcesz.

I tak odbył spowiedź.

Następnie zażądał atramentu, pióra i papieru. Dano znać komendantowi. Przyniesiono. Powiedział, że będzie pisać list do żony. Chodził długo po izbie więziennej i milczał. Usiadł wreszcie. Ze dwadzieścia minut siedział nad papierem. Wreszcie napisał list bardzo krótki:

„Kochana Żono! Jutro umieram. Jeżeli Pan Bóg poszle tobie dobrego człowieka, wychodź zamąż“.

Nic więcej. Komendant list odebrał i miał go wysłać żonie przez sztab generalny. Z powodu że pani Drużbacka była przy nadziei, ksiądz uprosił, ażeby list wysłano, dopiero gdy zawiadomi komendanturę, t. j. po rozwiązaniu.

Caluteńką noc przed śmiercią Drużbacki oka nie zmrzył. Czytanego dekretu nie słuchał wcale, jak gdyby nie jemu, lecz komuś innemu wyrok śmierci czytano. Oczyma wodził po żołnierzach i po niebie. Zdawało się, że jest tylko obojętnym widzem i nie jego życie z echem wystrzałów uleci na zawsze...

Brawując umarł, jak umiera zuchwały buntownik.

Pod kulami Moskali padł także Rudzki Skarbek Karol, „mirowy pośrednik“ powiatu Radomyskiego. Za co go rozstrzelano? o tem wie chyba Bezak, ówczesny generał-gubernator, który pragnął zapewne zabawić się w maleńkiego Murawjewa-Wieszatela. Za to, za co rozstrzelał Rudzkiego, mógł śmiało kazać rozstrzelać każdego Polaka; gdyż cały naród z jedno myślnością niesłychaną dotychczas powstanie wspierał pośrednio lub bezpośrednio. Wina

Rudzkiego było to, że był urzędnikiem przez szlachtę wybrany, na mocy prawa, do przestrzegania spokoju w powiecie, i że powstrzymywał, dopóki mógł, opierając się na prawie, rabunki i samowolę włościan. A tymczasem sam rząd patrzył już na to nietylko przez palce, ale z chęcią do rabunku, posługując się, jak zwykle w takich razach, policją i popem.

Zresztą miał Rudzki inne jeszcze winy za sobą. Dr. Niwiński, przyjechawszy do niego, zostawił dwie baryłki prochu. Rudzki, który, jako urzędnik, działał daleko pożyteczniej i bezpośredniego udziału w powstaniu nie brał, wysadził proch w powietrze. Chłopi, których od hajdamaczenia powstrzymywał, zrobili na niego „donos“, że proch robi, szarpie przygotowuje i nie pozwala rabować „panów“. Aresztowano go tedy — i skazano na śmierć.

Siedział na Głównym odwachu, gdyż Kijowski był zajęty: tam siedziało także dwóch skazańców, którzy mieli być dekretowani równocześnie z Rudzkim.

Rudzki był człowiekiem nerwowym. Myśl o zbliżającej się śmierci przejmowała go trwogą. Świadomość braku wszelkiej winy, nawet w pojęciu moskiewskim, działała na niego przygnębiająco. Dla uspokojenia się, pił ciągle czarną kawę. Ksiądz nie puszczał od siebie, a tymczasem ksiądz musiał czas swój rozdzielić między odwach Główny a Kijowski, gdzie siedział młody żołnierz z Augustowskiego, Brazajtas.

Gdy orszak na plac tracenia wystąpił, Rudzki tak się czuł osłabionym, że ujął pod rękę księdza i szedł z nim razem.

— Puść mnie: — szepnął mu ksiądz — pomyślą, że cię podtrzymuję... że jesteś tchórzem...

To poskutkowało. Rudzki puścił rękę księdza, na placu stanął spokojnie i śmierć przyjął z rezygnacją. Ostatnie słowa jego były: „proszę powiedzieć generał-gubernatorowi, że umieram niewinnie“.

Do tych ofiar barbarzyństwa moskiewskiego przyłączyły się jeszcze dwie, luźnie z powstaniem kijowskim związane: jedną był Brazajtas, o którym wspomniałem, drugim — zdegradowany porucznik armji rosyjskiej, Moskał, Popow.

Brazajtas należał do tych, których wielki polityk Wielopolski kazał przemocą wziąć do wojska. Pochodził z Augustowskiego. Wzięto go tedy i wysłano do gubernji Połtawskiej czy Czernihowskiej. Na wiadomość o tem, że powstanie wybuchło, uciekło z wojska czterdziestu Polaków i przedarli się do lasów radomyskich. Brazajtas był z nimi. Tu błakali się czas jakiś, aż nareszcie wyłapano ich. Brazajtas został skazany do rot aresztanckich za dezercję. Byłoby się na tem skończyło, gdyby nie poznał się ze zdegradowanym porucznikiem Popowem. Podejrzewano jakiegoś Swieżina o szpiegostwo i postanowiono go zgładzić. Umówili się, poszli razem na robotę i Popow owego szpiega zamordował. Brazajtas tyle tylko do tego dopomagał, że wiedział i milczał. Do tej awantury dołączyła się wszakże inna. Popow, namiętny i gwałtowny, będąc w szpitalu razem z Brazajtasem, posprzeczawszy się o coś z placmajorem Pachitonowem, człowiekiem zresztą dobrym i uczciwym, dał mu w twarz. Brazajtas, przyczepiony do tej sprawy najniesłuszniej, skazany został na śmierć wraz z Popowem. Siedział w „worku“ (w podziemnem więzieniu) na Kijowskich wrotach i stąd poszedł na śmierć wraz z Popowem.

Owego Popowa znałem osobiście i doskonale go pamiętam. W czasie śledztwa siedział na parterze z prawej strony Baszty Okrągłej wraz z innymi kryminalistami, których tam było kilkadziesiąt. Przychodził często do nas, to znaczy na nasz korytarz, oddzielony zupełnie od kryminalistów, chętnie bardzo rozmawiał, a nieraz i usługi oddawał, szczególnie gdy chodziło o porozumienie się z miastem. Jako Moskał i „niepolityczny“, łatwiej od nas

potrafił nawiązać stosunki i listy od Polaków jako swoje posyłał. Był to mężczyzna do trzydziestu lat mający, niewielkiego wzrostu, ale ruchliwy, o bladej, wycieńczonej, dobrej twarzy. Miał dużą, jasną brodę. Chodził w dużych, ciężkich kajdanach na nogach — o ile przypominam sobie, on jeden tylko — a często i na rękach. Zbliżanie się jego zdaleka można było poznać po przeraźliwym brzęku kajdan. Niespokojny, nerwowy charakter ciągle nim rzucał od celi do celi, z jednego końca korytarza na drugi, a brzęk kajdan rozlegał się echem po załomach i sklepieniach korytarzy. Dobry i łagodny z natury, gdy w złość wpadł, stawał się wściekłym i niepomamowanym. To też ten nadmiar energii życiem przypłacił.

Cały orszak postępował razem. Popowowi asystował pop, ale skazany uwagi na niego nawet nie zwracał. Gdy się zbliżyli do wrót Ławry, Popow zatrzymał się chwilę, zdjął czapkę, przeżegnał się.

— Oto krzyż Pański — krzyknął — to mój sędzia!
A was ja się nie boję!

Wogóle zuchwałe zachowanie się Popowa ogromne wrażenie robiło na żołnierzach.

Gdy się orszak zatrzymał na miejscu tracenia, a generacja szykowała się jeszcze, nagle Popow podrzucił czapkę do góry. Konie splątały się. Wywołało to pewien niepokój i popłoch. Popow skorzystał z tej chwili i zakomenderował:

— Smirno! (baczność) Stać!

Nastąpiła chwilka wahania się, po której Popow odezwał się głośno:

— Panowie oficerowie! Przebacze mi z całej duszy! Wy nieraz byliście może na warcie przy mnie, niejednemu sprawiłem zapewne przykrość... Idę na sąd...

W tej chwili odezwały się bębny i trąbki i zagłuszyły dalszą mowę.

Kilkanaście wystrzałów — i wszystko skończone...

Tak umarł Popow, natura szlachetna i dobra, szczerzy przyjaciel Polaków, największy wróg własnego rządu. Zmarnował życie własne i innych. Nasi umierali bez skarg, bez protestów, z rezygnacją spokojną i cichą, bo nad nimi świeciła wielka idea przyszłości narodowej. Popow umarł jak dziki buntownik, który ponad osobiste nie-szczęście nic przed sobą nie widział.

SPIS RZECZY.

Od Autora	5
Moje przygody w r. 1863 — 1864 w Kijowie	9
Dodatek: „Jak oni umierali“	105

Niektóre dzieła historyczne Fr. Rawity-Gawrońskiego.

(oprócz większych artykułów w miesięcznikach).

Skarbczyk polski. Krótka historia polska dla dzieci (M. Ilnicka i Fr. Rawita). Poznań 1895. (Wyczerpany).

Ustrój państwowo - społeczny Rusi w wieku XI i XII w zarysie. Lwów 1898. (Wyczerpane).

Zorjan Dołęga Chodański, jego życie i praca. Lwów. 1898. (Wyczerpane).

Sadyk Pasza (Michał Czajkowski). Zarys biograficzno - literacki. Petersburg. 1899. (Wyczerpane).

Historja ruchów hajdamackich. 2 tomy. Brody. 1899.

II wydanie 1911. (Wyczerpane).

Rok 1863 na Rusi. I. Ruś Czerwona i Wschód. Lwów. 1899. (Wyczerpane).

— II. Ukraina, Wołyń i Podole, Lwów. 1903.

Studja i szkice historyczne. Serja I. Lwów. 1903.

Treść: Rzut oka na stosunki w Ks. Warszawskiem. Uposażenie rzymsko-katolickiego duchowieństwa na kresach ukraińskich. Ostatnie lata życia Sadyka Paszy. Kartki z historii szkolnictwa w Rosji. Rodzina Hurków. Uprawa wina w Polsce. Adam Mickiewicz na Wschodzie. Wycieczki historyczno-archeologiczne po Ukrainie. Józef Oleszkiewicz. Liberali i polityk ze szkoły rosyjskiej.

— Serja II. Lwów. 1900.

Treść: Losy wielkiej fortuny na kresach ukraińskich. Filip Orlik, nieuznany hetman kozacki. Kartki z życia społeczeństwa kresowego. Prawo bartne XVI w. Pogląd na historję rolnictwa w Polsce. Siabrostwo jako forma władania ziemią. Ludowe sądy kopne na Polesiu. Przygoda Imci Pana Sienkiewicza. Kilka słów o rodzinie i miejscu rodzinem Tarasa Szewczenki.

Bohdan Chmielnicki. T. I. do elekcji Jana Kazimierza. Lwów. 1906.

— T. II. do śmierci Chmielnickiego. Lwów. 1909.

- Próba ugody z Rusią (Poselstwo Bieniewskiego).** Od śmierci Chmielnickiego do ugody Hadziackiej. Lwów. 1907.
- Konfederacja narodu polskiego 1876 r.** Lwów. 1910. II wydanie Poznania. 1920.
- Henryka Pustowojtówna.** Lwów. 1911.
- Materiały do historii polskiej XIX w.** Działalność emigracji z r. 1831 na terenie Turcji.
- Włodzimierz Antonowicz.** Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej.
- Emil Ollivier.** Ze wspomnień ministra. (R. 1863). Lwów. 1911.
- Andrzej Towiański i I. A. Ram.** Kartka z historii mistycyzmu religijnego w Polsce. Lwów. 1911.
- Obszar, zaludnienie i tworzenie się Kozaczyzny.** Kraków. 1914.
- Wyprawa Wołyńska.** Epizod z r. 1863. Warszawa. 1914.
- Dyktatura Langiewicza i Stefan Bobrowski.** Warszawa. 1914.
- Kijów.** Legendy, podania, dzieje.
- Studja i szkice historyczne.** Serja III.
- Treść: Biskupstwo rzymsko-katolickie w Kijowie. Zakon o. o. Dominikanów w Kijowie. Zamek kijowski. Złota Brama w Kijowie. Czy biskup krakowski Stanisław był synem Włodzimierza, księcia kijowskiego? W jakim miejscu był zameczek Rów, zrujnowany w czasie napadów tatarskich w XV w.? Dzikie konie na Poniziu czarnomorskiem. O wygasłym rodzie Słupiców. Fastów i Faszczowie.
- Kijów — Warszawa. L. Idzikowski. Kraków. 1915.
- Ślady kultury starego świata na Rusi Kijowskiej.** Kraków. 1917.
- Kobiety na tronie carów moskiewskich do końca XVIII-go wieku.** Warszawa 1921.
- Wojna o księstwo Ruskie od r. 1667 do 1676.** Gebethner i Wolff. (w druku).



ALBANY POLSKA

Dep. Wigo
14. 11. 52.

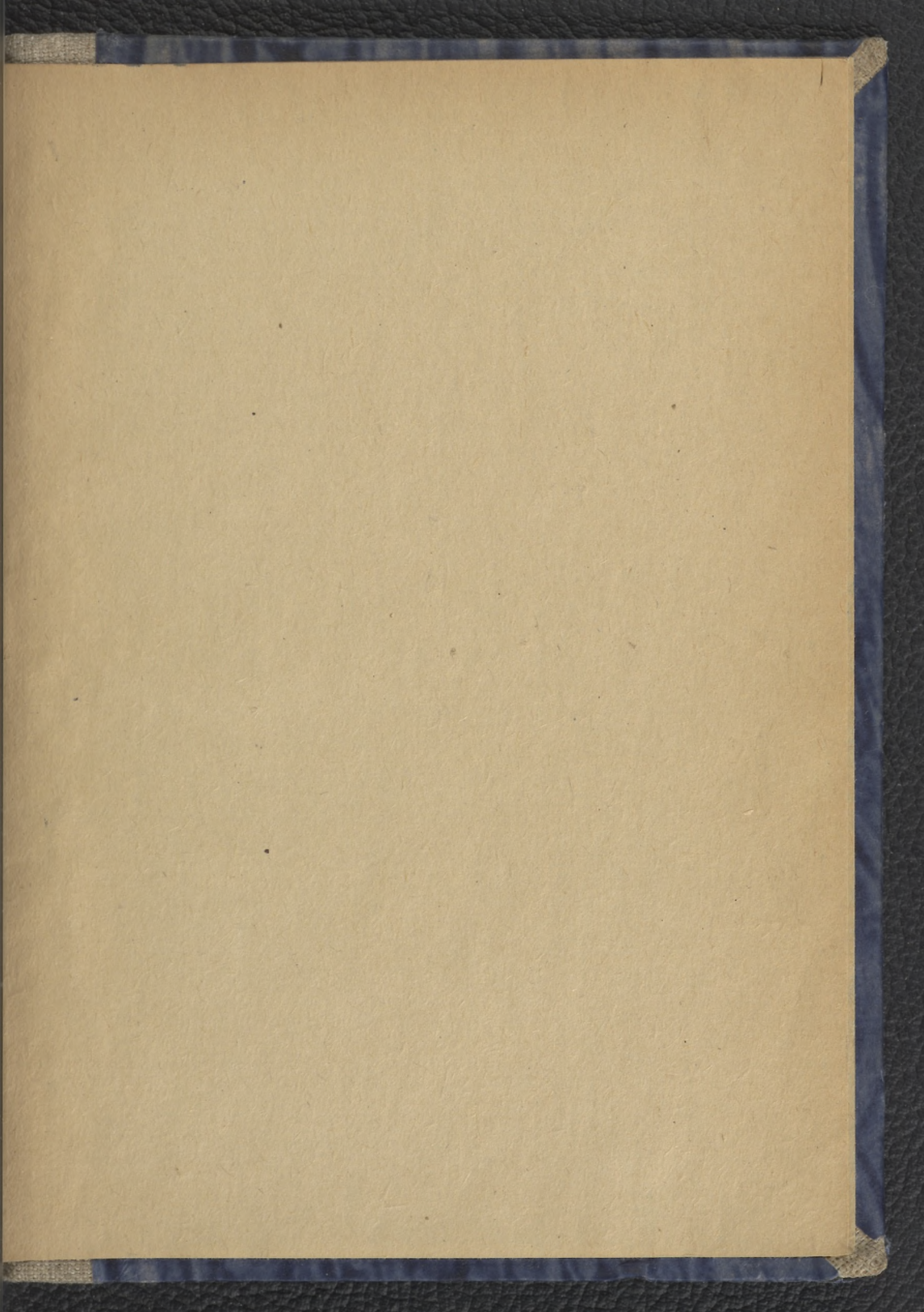
„KSIĘGARNIA POLSKA“

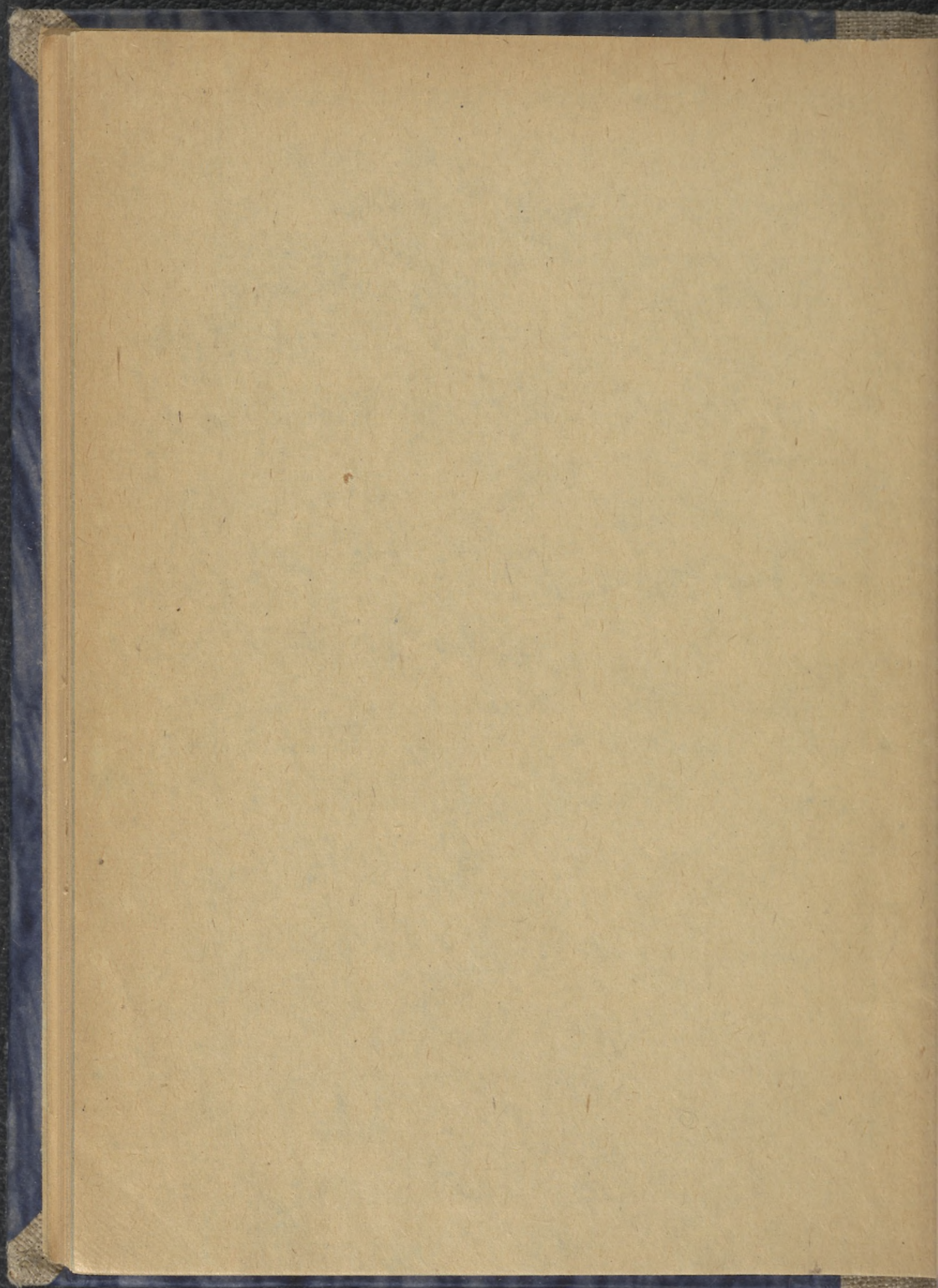
TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

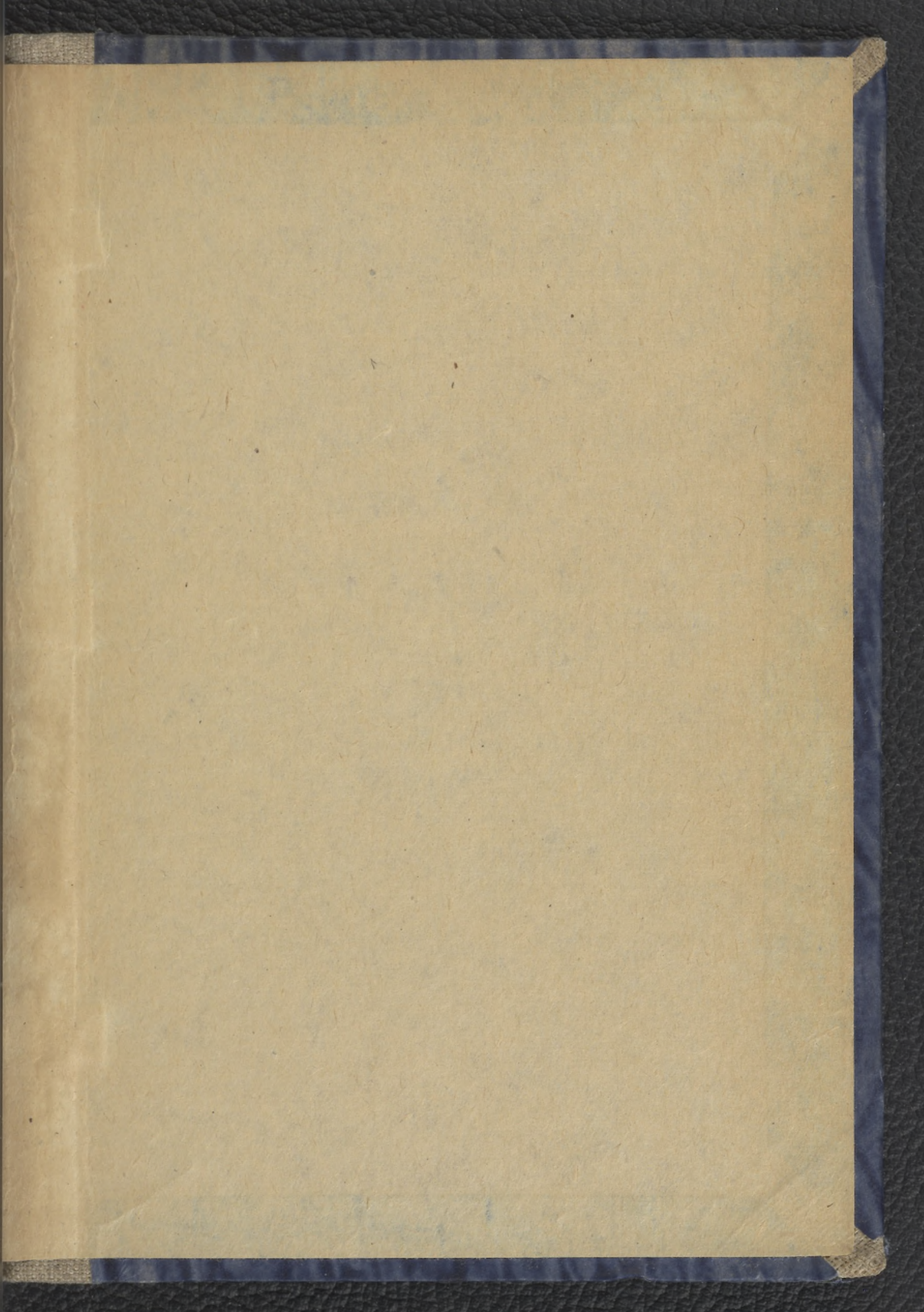
W WARSZAWIE, UL. WARECKA 15

POLECA NASTĘPUJĄCE TANIE POWIEŚCI I OPOWIADANIA:

- ANTOSZKA. — Dola Marynki podrzutka. Wyd. 2-gie.
BROLIS — Jürgis Durnialis. Opowieść wiejska. Wyd. 2-gie.
BRZEZIŃSKI M. — Sprawa o wóz, czyli historia o jednym wójcie i pisarzu. Wyd. 2-gie.
BOGUSŁAWSKA M. — Duch zamku Olsztyńskiego. Powieść dla młodzieży.
— Drobiazgi. Obrazki z codziennego życia.
— Gospoda pod modrym fartuszkim. Pow. hist. z dziejów Pomorza.
— Ofiara Wiktosi. Powieść. Wyd. 3-cie.
JUNOSZA KL. — Dziadowski wychowanek. Powieść. Wyd. 4-te.
— Na chlebie u dzieci. Powieść. Wyd. 4-te.
— Żona z jarmarku.
ISKIERKA. — Młyn na Pokusie. Powiastka.
KOWERSKA Z. — Pani Anielska. Legenda.
— Prawdziwe bogactwo. Trzy opowiadania.
— Wydalona. Obrazek z życia Polaków pod panow. pruskim.
— Za głosem serca. Opowiadanie z życia w W. Ks. Poznańskim.
— Za wiarę. Z życia unitów. Wyd. 3-cie
KRASZEWSKI J. I. — Cygańskie dziecko. Z powieści „Chata za wsią“. Wyd. 6-te.
KRESOWIEC. — Zatrute ziarna.
MORZYCKA F. — Kuźma Jeź. Opowiadanie z dawnych czasów. Historia o pra-pra-dziadku.
NITOWSKI J. — Niemrawa. Opowiadanie.
ORZESZKOWA E. — Czarownica. Opowiadanie. Wyd. 4-te.
— Romanowa. Wyd. 4-te.
— W zimowy wieczór. Wyd. 5-te.
PRUS B. — Michałko. Wyd. 5-te.
PUTIATYCKA J. — Bez plewy. Opowiadania.
RAWITA-GAWROŃSKI FR. — Z dziejów rodziny Żywtotowskich.
I. Marzenia. (Rok 1846).
II. Czyn. (Rok 1863).
RUTKOWSKA BR. — Zerwany kwiat polny. Powieść. Wyd. 2-ie.
SZTARKIEL J. — Pan Bartłomiej. Powieść. Wyd. 2-gie.
WICEK Z WARSZAWY. — Trzydzieści morgów. Opowiadanie.
WŁODKÓWNA BR. — Dla swoich. Powieść.
— Na własnym zagonie. Powieść. Wyd. 2-gie.
— Stracone szczęście. Powieść.
— Opowiadania.
ŻYCKA L. Cichy bohater.









493192

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001009865196